ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Bolesław Leśmian

Poezje

publio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ARCYDZIEŁA KLASYKI LITERATURY

Bolesław Leśmian

Poezje

Warszawa 2012

Spis treści

Ze zbioru „Sad rozstajny” [1912]

- Wieczorem
- Róża
- Noc zimowa
- Usta i oczy
- W słońcu
- Niebo przyćmione
- W południe
- Nadaremność
- O zmierzchu
- Szmer wioseł
- Zmory wiosenne
- Zmierzch majowy
- Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz
- Wspomnienie
- Las
- Przyjdę jutro, choć nie znam godziny
- Cień
- Pieśń o ptaku i o cieniu
- Toast świętokradzki
- Ballada o dumnym rycerzu

Ze zbioru „Łąka” [1920]

- Topielec
- Gad
- Róże

Ballada dziadowska
Dusiołek
Świdryga i Midryga
Zielony dzban
Śmiercie
Strój
Ballada bezludna
Zaloty
Szewczyk
Garbus
Żołnierz
Trzy róże
W malinowym chróśniaku...
Rok nieistnienia
Wieczorem
Dwoje ludzieńków
Dusza w niebiosach
W przeddzień swego zmartwychwstania
Don Kichot
Łąka

Ze zbioru „Napój cienisty” [1936]

Pierwsza schadzka
Dziewczyna
W zakątku cmentarza
Kocmołuch
Wiosna
Akteon
Alcabon
Poeta
Urszula Kochanowska

W czas zmartwychwstania
* * * [Po co tyle świec nade mną, tyle twarzy...]
Trupięgi
* * * [Bóg mnie opuścił – nie wiem, czemu...]
Do siostry
W nicość śniąca się droga
Słowa do pieśni bez słów
Marsjanie
Pan Błyszczyński

Z tomu „Dziejba leśna” [1938]

Niegdyś dom mój ochoczy
Tu jestem
Wczesnym rankiem
Południe
Zachód
Idzie zmierzch
Krajobraz utracony
Krzywda
Com uczynił...
O zmierzchu
Prośba
Powrót
Skończoność
Dreszcze nasze u warg się spotkały
Twój portret
Lubię szeptać ci słowa
Szczęście
Jam – nie Osjan
Wyruszyła dusza w drogę
Puściła po stole swawolący wianek

Skrzeble
Spotykam go codziennie
Zbój
Tango
Pogrzeb Don Żuana
Ciało me, wklęte
Miłość stroskana
Usta i oczy
Jak niewiele ma znaków
Śni się lasom – las...
Dłoń zanurzasz w śnie...
Mrok na schodach...
Boże, pełen w niebie chwały
Pogrzeb
Śmierć wtóra
Metryczka książki

Ze zbioru
„Sad rozstajny”

[1912]

Wieczorem

Mrok się gęstwi po sadzie, ziemny powiał chłód,
Zda się, iż dal zbłąkana podchodzi do wrót...
Wiatr się zsunął ze strzechy na gałęzie drzew –
Czy on we mnie tak śpiewa? Widzę poprzez śpiew,
Jak księżyc wschodzi nad borem!

W podwórzu, dokąd zajrzał z poza ciemnych brzóz,
Rozwidniała się studnia i samotny wóz,
Między szprychy znienacka oświetlonych kół
Duch, drogi nieznający, na nocleg się wsnuł
Wieczorem, późnym wieczorem.

Przez szyby moich okien, zapatrzony w staw,
Blask spada i tli się wśród wilgotnych traw.
W dłoni mojej zerwany doumiera wrzos.
Jakże dziwne wymówić własne imię w głos
Wieczorem, późnym wieczorem!...

Cień mój, co we dnie kładł się na złocisty łan,
Nocą pragnie zapełnić pustkę moich ścian.
Do szyb, znikąd zwabione, lgną puszyste ćmy –

Staw posrebniał i widzi inaczej, niż my,
Jak księżyc wschodzi nad borem...

Róża

Czym purpurowe maki
Na ciemną rzucał drogę?
Sen miałem, ale – jaki? –
Przypomnieć już nie mogę.

Twojeż to były usta?
Mojeż to były dłonie?
Głąb sadu mego – pusta,
We wrotach – księżyc płonie.

Dni się za dniami dłużą,
Noce – w jeziorach witam...
Kiedy ty kwitniesz, różo?
– „Ja nigdy nie zakwitam"...

– „Ja nigdy nie zakwitam"...
Twójże to głos, o, różo?
Słowo po słowie chwytam,
Dni się za dniami dłużą...

Noc zimowa

Skrzeń tajemnica
Rozzłoceń mus!
We mgle księżyca
Jarzy się mróz!

Okruchy śniegu

Siecią swych fal
Zasnuły w biegu
Bezbronną dal.

Gmatwając loty,
Tamując dech –
Obsiadły płoty,
Jak siwy mech.

Do szyb się garną,
Jak białe ćmy,
Tchnąc w izbę parną:
„To – my! To – my!”

Z karczmy, w zakrzepły
Rozwartej świat,
Dym bucha ciepły
I blask i czad!

Zaprzepaszczony
W ciemni bez dróg –
Drzewom prze szrony
Złoci się – Bóg.

Sad wśród topieli
Śniegowych głusz
W śmierci się bieli
Bez róż – bez zórz!

W swej pysze pawiej
Łez tłumiąc znój,
Wśród śnieżnych zawiej

Sen kroczy mój...

Usta i oczy

Znam tyle twoich pieszczot!
Lecz, gdy dzień na zmroczu
Błyśnie gwiazdą, wspominam tę jedną – bez słów,
Co każe ci ustami szukać moich oczu...
Tak mnie żegnasz zazwyczaj, nim powrócę znów.

Czemu właśnie w tej chwili, gdy odejść mi pora,
Pieścisz mi oczy, nim spojrzą w czar lasów i łąk?...
Bywa tak: świt się budzi od strony jeziora,
Nagląc nas do rozplotu snem zagrzanych rąk...

O szyby – jeszcze chłodne – uderza pozłotą,
Nagły z nieba na ziemię świateł zlot i spust –
Usta twe – na mych oczach! Co chcesz tą pieszczotą
Powiedzieć?
Mów – lecz zmyślnych nie odrywaj ust!

W słońcu

Jastrzębi śledząc lot,
Jezioro ciszę wdycha.
Zwiesza się po za płot
Spylona rozwalicha.

W kałuży, śladem kół
Porysowanej w żłoby,
Tkwi obłok, brzozy pół
I gęsi rdzawe dzioby.

Od sztachet, snując kurz
Na trawy i na chwasty,
Słońcem pocięty wzdłuż
Upada cień pasiasty...

Trzeba mi grodzić sad,
Trzeba mi zboże młócić!
Przyszedłem na ten świat –
I nie chcę go porzucić!...

Niebo przyćmione

Niebo przyćmione, niebo wieczorne
Samochcąc płynie przez moje oczy...
Piersi bezsenne i bezoporne
Pieszczota zmierzchu nuży i tłoczy.

O, teraz snuć się cieniem po gaju,
Ducha wśród sosen w szkarłat rozjarzyć,
U twojej wrótni, na twym rozstaju
Samemu sobie – snem się wydarzyć!

Na skroń kalinom, ujrzanym w dali,
Paść złotym kurzem w purpur pożodze –
I nie odróżnić ust twych korali
Od owych kalin na owej drodze!

I nie odróżnić twoich warkoczy
Od brzóz, weśnionych w głębie jeziorne...
Samochcąc płynie przez moje oczy
Niebo przyćmione, niebo wieczorne...

W południe

Wzdłuż chat, ponad strzechami
Południa żar zawzięty
Widomie drga i mami
Niepochwytnymi pręty...

Wpośród zielonych muraw
Schną rosy ciemne ślady,
Samotnej studni żóraw
Patrzy w dalekie sady.

Na przeciwległe wzgórze
Głóg wpełzły i berberys
Poprzez słoneczne kurze
Gałęzi rzuca przerys.

Południe samo siebie
Roztrwania w oman senny...
Niebem prześwieca w niebie
Przezroczy księżyc dzienny.

Znienacka w drzew gęstwinie
Wiśnia się płoni smagle –
O, teraz, w tej godzinie
Pokochać – kogoś – nagle!...

Ten znój z błękitem w zmowie
Dech piersiom tak utrudnia!
Zachciało się mej głowie
Śnić miłość wśród południa!

Nadaremność

W znoju słońca mozolnie razem z ciszą dzwoni

Rozgrzanych płotów chróst.
Pocałunek sam siebie składa mi na skroni,
Sam – bez pomocy ust...

Z rozwalonej stodoły brzmi niebu przez szpary
Jaskółek płacz i śmiech –
Do pokoju, spłowiałe wzdymając kotary,
Wrywa się wiosny dech!

Boże, coś pod mem oknem na czarną godzinę
Wonny rozkwiecił bez,
Przebacz, że wbrew twej wiedzy i przed czasem ginę
Z woli mych własnych łez!

O zmierzchu

Słońce zgasło. O, jakże zwinne są i młode
Zmierzchy czerwca, nim w północ głuchą się przesilą!
Po wargach twoich dłonią, kształt czującą, wiodę,
Jak po koralach, morzu wydartych przed chwilą...

Spleć stopy, przymknij oczy – i nazwij to cudem,
Żeśmy razem, dalecy od dziennego znoju!
Jakże łatwo zwiać szczęście, z takim oto trudem
Rozniecone w ciemnościach twojego pokoju!

Łatwiej, niż rozpleść złotą warkocza zawiłość,
Niepojętą dla zmierzchów, co zgadnąć nie mogą,
Czemu te słowa: cisza i wieczór i miłość –
Napełniają mi serce zabobonną trwogą?...

Czemu ciebie, poległą snem na mej rozpaczy,
Pieszczę tak, jakby w szczęścia przepychu dostatnim

Każdy mój pocałunek miał być już – ostatnim...
Słońce zgasło... O, błagam, nie całuj inaczej!...

Szmer wioseł

Szmer wioseł dwojga w gęstwinie fal –
I szmer – i słońce – i śpiew – i dal!

Tak właśnie trzeba i tylko tak:
Płynąć wbrew ziemi – niebu na wspak!

Perły, korale skradzione dnu
Rzucać w głębinę własnego snu –

I nasłuchiwać – o, złudo złud! –
Czyli uderzą z jękiem o spód?...

Łódź się odbija w fali na wznak –
Tak właśnie trzeba i tylko tak!

Dwoistą łodzią i tu i tam
Płyń jednocześnie, podwakroć sam!

Dwoistą łodzią w bezmiary płyń,
Podwójnie kochaj, podwójnie giń!

Czworo masz wioseł, dwa stery masz,
Ku własnej twarzy schyloną twarz –

Jakbyś wypłynął z dwu różnych snów,
Aby w tym jednym spotkać się znów!...

Jakbyś zaprzysiągł noce i dnie

Temu jednemu! Mój śnie, mój śnie!...

Zmory wiosenne

Biegnie dziewczyna lasem. Zieleni się jej czas...
Oto jej włos rozwiany, a oto – szum i las!

Od mrowisk słońce dymi we złotych kurzach – mgłach,
A piersi jej rozpiera majowy, cudny strach!

Śnił się jej dzisiaj w nocy wilkołak w głębi kniej,
I dwaj rycerze zbrojni i aniołowie trzej!

Śnił się jej śpiew i pląsy i wszelki ptak i zwierz!
I miecz i krew i ogień! Sen zbiegła wzdłuż i wszerz!...

A teraz biegnie w jawę, przez las na lasu skraj –
A za nią – Maj drapieżny! Spójrz tylko – tygrys-maj!...

Dziewczyna płonie gniewem... zaciska białą pięść...
A wkoło pachną kwiaty... Szczęść, Boże, kwiatom szczęść!

A wkoło pachną kwiaty, słońcem się dławi zdrój!
Purpura – zieleń – złoto! Rozkwitów szał i bój!

Grzmi wiosna! Tętnią żary! Krwawią się gardła róż!
O, szczęście, szczęście, szczęście! Dziś, albo nigdy już!...

Dziewczyno, hej, dziewczyno! Zieleni się nam czas!...
Kochałem nieraz – ongi – i dzisiaj jeszcze raz...

Dziewczyno, byłem z tobą w snu jarach, w głębi kniej –
Jam – dwaj rycerze zbrojni i aniołowie trzej!...

Jam – śpiew i pląs zawrotny! Jam wszelki ptak i zwierz!
Ja – miecz i krew i ogień! Sen zbiegłem wzdłuż i wszerz...

Sen zbiegłem, goniąc ciebie, twój wierny tygrys-maj!...
Ja jestem las ten cały – las cały aż po skraj!

Zmierzch majowy

Zmierzchu majowy, purpurą się ściel!
Z jabłonnych kwiatów – czar tobie i biel...

W jedną się falę stapiają bez fal –
Ze światłem – smutek, a ze smutkiem – dal.

Ten Maj w niebiosach, zwieczorniały Maj!
Przypomnij wszystko – i zrozum – i łkaj...

Wiem, że ty teraz pochyliłeś skroń
W okno, rozwarte na światłość, na woń.

I wzrok wytężasz poza życia kres
Aż do utraty oddechu i łez –

Aż do wchłonięcia oddali i cisz,
Aż do niewiedzy, dla kogo tak śnisz?

Aż do pytania, dlaczego w ten znój
Świat zda się obcy, choć blizki, choć twój?

I czemu zorzy purpurowy czas
Do trwóg przynagla i ciebie i nas?

I czemu trzeba ku zbłaganiu zórz

Poczwórnych dłoni i aż dwojga dusz?...

Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz

Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz,
Ale w innym sadzie, w innym lesie –
Możeby inaczej zaszumiał nam las,
Wydłużony mgłami na bezkresie...

Może innych kwiatów wśród zieleni bruzd
Jęłyby się dłonie, dreszczem czynne –
Możeby upadły z niedomyślnych ust
Jakieś inne słowa – jakieś inne...

Możeby i słońce zniewoliło nas
Do spłonięcia duchem w róż kaskadzie,
Gdybym spotkał ciebie znowu pierwszy raz,
Ale w innym lesie, w innym sadzie...

Wspomnienie

Drzwi rozwarte na oścież były w naszym domu,
Dłoniom, co je rozwarły, zamknąć zbrakło mocy...
Szereg komnat na przestrzał widniał, jak po nocy
Mętne wspomnienie alej, nieznanych nikomu.

Wszystko – w mroku. – I tylko ów pokój ostatni
Z oknem w zaświat – na słońce, po pas wbite w chmurę,
Jarzył się – cały w blasków pełgających matni –
I siał pyły słoneczne przez kotar purpurę.

Tam – w tych ścianach kosmatych od pręgów i pasem,
Wśród zacieków purpury i wyparów złota,

W słupach świateł spylonych – ta nasza pieszczota
Rozwidniła się nagle, jak chmura nad lasem...

I, gdy ją wylew słońca grzał skośnym potokiem,
Uczyła radość wstydu, co się wyzbył siebie,
Aż się z pyłem słonecznym zmieszała, jak w niebie
Miesza pół obłoku z drugim półobłokiem.

Dzisiaj, gdy już zamknięto drzwi naszego domu,
A ja skarżę się w śnie złotowłosym cieniom,
Czasem ku owym progom biegnę pokryjomu,
By rozewrzeć drzwi wszystkie na oścież wspomnieniom!

I rozwieram – a sam się usuwam w kąt ciemny,
By stamtąd widzieć światłość w ostatnim pokoju
I z jego wiecznych purpur i wiecznego znoju
Snuć dla reszty mych komnat wyrok potajemny...

Ściany, stropy i odrzwia i skrętne zawiasy
Wrdzawione w zmierzch, co lada iskrę uwydatni,
Czerpią połysk dla pleśni, brzask martwej krasy
Stamtąd i zawsze z stamtąd – z komnaty ostatniej!

Tam już niema ciał dwojga: niebu w próżnię droga!
Słupy świateł, istnieniu podane ukosem –
Szmer purpury, co z czyimś zetknęła się losem –
Wieczna światłość!... Kurz złoty!...
Pył słońca w twarz Boga!

Las

Pomyśl: gdy będziesz konał – czem się w tej godzinie
Twoja pamięć obarczy, nim szczeźnie a minie,

Wszystką ziemię ostatnim całująca tchem?
Czy wspomnisz dzień młodości – najdalszy od ciebie –
Za tę jego najdalszość, za odlot w podniebie,
Za to, że w noc konania nie przestał być dniem?

Czy wspomnisz czyjeś twarze, co – wspomniane – zbledną?
Czyli, śmiercią znaglony, zaledwo z nich jedną
Zdążysz oczom przywołać – niespokojny widz?
Czy w popłochu tajemnych ze zgonem zapasów
Zmącisz pamięć i zawrzesz na sto rdzawych zasuw,
I w tem skąpstwie przedśmiertnem nie przypomnisz nic?

Lub ci może zielonem narzuci się złotem
Las, widziany przygodnie – niegdyś – mimolotem,
Co go wywiał z pamięci nieprzytomny czas?...
I, ócz zezem niecałe rojąc nieboskłony,
Łzami druha powitasz – i umrzesz, wpatrzony
W las nagły, niespodziany, zapomniany las!...

Przyjdę jutro, choć nie znam godziny

Pordzewiały twej wrótni zawory,
Dym z twej chaty nie buja po niebie –
Mnie tam niema! Tu jestem – bez ciebie,
Tu, gdzie w próżni mijają wieczory!
Zmienionego, nim przywrzesz do łona,
Wiem, że poznasz po łkaniu przewiny!...
Czekaj na mnie, w cień własny wpatrzona,
Przyjdę jutro, choć nie znam godziny...

Zapal światło u progów przedsienia,
Z macierzanek spleć wieniec nad czołem,

Naucz dzieci mojego imienia
I zachowaj mi miejsce za stołem!
Ku tej drodze, gdzie idą pątnicy,
Dłonie twoje rzucają cień siny...
Zasadź brzozę pod oknem świetlicy,
Przyjdę jutro, choć nie znam godziny...

Duch mój, chabrem porosły i wrzosem,
Burz zapragnął, co chłodem go zwarzą!
Nie znam głosu, co będzie mym głosem,
Nie znam twarzy, co będzie mą twarzą –
Lecz ty jedna mnie poznasz niezłomnie,
Gdy, twe imię śpiewając w doliny,
Z raną w piersi, zmieniony ogromnie
Przyjdę jutro, choć nie znam godziny...

Cień

Anim patrzył na słońce przez lny,
Anim chodził do boru po sny –
Jenom widział, jak rzucony wzdłuż
Cień mój powstał by nie upaść już.

Przetarł oczy i otrząsną pył,
Co był złoty i wiekowy był,
W dniach zamierzchłych rozejrzał się wstecz,
Przywdział zbroję i przypasał miecz.

Siadł na rączy, na bułany koń,
Uśmiechnięty cwałował przez błoń,
Kopytami tratując na płask
Kół słonecznych po murawie brzask!

Dokąd zbiegłeś, konny cieniu mój?
Czy z różami na śmiertelny bój?
Czy do baśni, niewidzialnej stąd?
Czy w umyślny gwiazd po niebie zbłąd?

„Ni do gwiezdnych wyżej ziemi burz,
Ni do białych niżej słońca róż,
Jeno pragnę powrócić w ten kraj,
Gdzie ty byłeś – drzewom dany Maj!

Gdzie ty byłeś – ponad jarem dąb,
Zasłuchany w zew anielskich trąb,
A ja – wpobok od słonecznych wrzeń –
W głębi jaru – twój dębowy cień!

Gdzie ty byłeś z tamtej strony chat
W snach zapadły, nieprzebyty sad,
A ja – na wznak poległy u wrót –
Twej zadumy wzór nikły i skrót!...”

Wracaj, cieniu, konny cieniu mój,
Po przez kwiaty – w ten za nimi znój,
Poprzez biały na jabłoni puch –
W zmierzch dębowy, gdzie bywał mój duch!

Anim patrzył na słońce przez lny,
Ani chodził do boru po sny –
Jenom widział, jak w wiosenny czas
Z cieniem moim Bóg spotkał się raz...

Pieśń o ptaku i o cieniu

Gdy – pod brzeg odbity stawem –
Po niebiosach płynie ptak,
Tajnią lotu, wichru zjawem
Kołysany wprzód i wspak –
Wpatrzonemu w staw po brzegi
Przez ruchliwe trzcin szeregi
Zdaje mi się wobec świata,
Że on dla mnie tak odlata,
W niebie, w trzcinie mknąc, jak we śnie,
Tu i ówdzie – jednocześnie!...
Za mnie, za mnie, com wrośnięty
Duchem – w ziemię, sercem – w męty
Łez, wyciekłych z gwiazd w źrenice
Tym, co weszli w mą świetlicę
Niewiadomo – jak i skąd –
I staneli nagle w rząd!...

I gdy cień swe skrzydła szare
Włóczy we mgle tam i sam,
Oddający na ofiarę
Siebie – drzewom, drzewa – nam –
Stojącemu popod lasem,
Gdzie czas – szumem, a szum – czasem,
Zdaje mi się odniechcenia,
Że on za mnie sny odmienia,
To od dęba, to od sosny
Wydłużony w bezmiar wiosny!
Za mnie, za mnie, co nie mogę
Nikłym cieniem paść na drogę,
By nieść duchem w mgieł obczyznę
Dziwną kwiatów podobiznę

I pod wiatru miotać wiew
Na murawę – kształty drzew!...

Ptak – w niebiosy, cień – w mgławicę,
Pogrzeb sunie przez ulice,
Przez ulice – wzdłuż i wskroś!...
Tak i nie tak – w inne kraje,
A mnie zdala się wydaje,
Że to za mnie umarł ktoś!...
Ktoś mi obcy, a już – blizki
W trumnie, cichszej od kołyski,
Duchem wzbity ponad światy
Nakształt dymu z mojej chaty,
Idzie z czarnych kół turkotem,
Jakby właśnie szedł z powrotem
Za mnie, za mnie, co – zaklęty –
Róż zrywaniem pochłonięty
Zwlekam wciąż u wnijść tysiąca
Do tych mgieł za mgłą miesiąca,
Zwlekam, w sobie zapodziany,
Zapatrzony, zasłuchany,
I tak żądny snów bez celu,
Że mi oto w mem weselu
Ani nie żal, ani żal
Tych, co za mnie idą w dal!...

Toast świętokradzki

Żem nieraz wchodził z wami w złośliwość zażyłą,
Mistrze zgrzytów i chrzęstów, z których pieśń się czyni,
Więc mi dano się o was zadumać w świątyni,
Gdzie Już nic się nie staje, prócz tego, co było...

Tu – wybucha z witrażów tak tęczowy płomień,
Że ty – bogu, a tobie – bóg wyda się tęczą,
I obydwaj, zarówno pełni oszołomień.
Posłyszycie, jak wasze westchnienia współdzwięczą.

Lecz ja dłoń świętokradzką wyciągam w rozblaski
Aż po kielich, drzwi złotą dwutarczą strzeżony!...
Na dnie jego krwi Pańskiej koral zaczajony
Ustom, skorym do wina, nie poskąpi łaski!

Więc gdy mi takie wino uderza do głowy
Mocą nieba całego aż do nieboskłonu –
Czyż nie jestem – o, bracia, nieufni do zgonu –
Opojem znad lazurów i sam – lazurowy?

Czyliż teraz mój okręt, szalony beztroską,
Dość się hardo na zdradnej nie załamie rafie?
I czyż – bóstwem pijany – do was nie potrafię,
Znawcy znawstwa samego, przemówić dość bosko?...

Za wszystkich, których słońca promienista rózga
Chłoszcze za żądz natręctwo i skrzydeł bezbożność,
Aż ich kiedyś – złocących swej kary wielmożność –
Grom, zawistny o złoto, w proch cenny rozdruzga!

Za skazanych na znoje czatów i wywiadów –
Gdziekolwiek się wałęsa ich płonna tęsknota!
Za tych, co mając żądła, poszukują jadów –
Gdziekolwiek Ich przydybie ta żądeł zgryzota!...

I za tych, którym nagle, na wiosnę czy jesień.

By pogardzić kwiatami – nie dostało chwastu!...
I za tamtych, co z wszelkich uniesień lub wzniesień
Warci jeszcze takiego wzniesienia toastu!

Za tę całą drużynę zgiełkliwą i rojną,
Co otuchę donośnym wezwałaby rogiem –
Za ich żywot pokrętny i śmierć niespokojną
Wznoszę kielich, po brzegi pieniący się bogiem!...

Ballada o dumnym rycerzu

Śpi owo rycerz, śpi bezrozumnie
I raz na zawsze – w dębowej trumnie.

Leży wygodnie, bo się ułożył
Tak, aby nigdy snu nie zatrwożył...

Jego kochanka z różańcem w ręku
Zawodzi, pełna skargi i jęku:

– „Przyszłam ci wyznać moje niemoce,
Że nie wiem, jak tam spędzasz swe noce?...

Bo odkąd w ciemnym nocujesz grobie –
Ani ty przy mnie – ni ja przy tobie!

Kochałam oczy i usta twoje,
Wczoraj kochałam, dzisiaj się boję!

Boję się szatą w mrok zaszeleścić,
Boję się w myśli ciebie popieścić!...

Trzy dni się w myśli twój czar promienił,

Dziś nie wiem, ile grób cię odmienił...

Ani mi z tobą łoża podzielić,
Ani urodą swoją weselić –

Darmo przymuszam uparte ciało,
By się twym oczom podobać chciało!

Przy tobie martwym – ja nieszczęśliwa
Wstydzę się jeno, żem jeszcze żywa!..."

Rozważył rycerz, że w słowach – zdrada,
I, po dawnemu leżąc, powiada:

– „Choć mi robaki oczy wyżarły –
Nie wstyd mi tego, żem już – umarły!...

Chociaż podziemiec jestem nikczemny –
Nie wstyd mi tego, żem już podziemny!...

Taką mam sytość i przepych w próżni,
Że mnie od króla Bóg nie odróżni!

Taka noc błysła nad życia zbiegiem,
Że mu świat cały – jednym noclegiem!

Ani mi słońca, ani mi nieba,
Ani miłości twojej potrzeba!

Ani mi zemsty w onej ustroni,
Gdzie krew nie szemrze i miecz nie dzwoni!

Nie znasz ty dumy, nie znasz pogardy

Tych, którzy w ziemi posnęli twardej...

W piersi ich – wielka ciszy potęga
I żaden zawód ich nie dosięga!

I nawet z resztek zsiniałej wargi
Nie wydobędziesz jęku, ni skargi!

Oto w pobliżu mam ja sąsiada,
Co już od serca w proch się rozpada.

Ten ci jest śmiercią ode mnie starszy –
I śpi, na żmijach głowę oparłszy.

Lecz co przecierpiał i co zobaczył –
Nawet półszeptem wyrzec nie raczył!

Nie ulżył jękiem niemej żałobie,
Nie wyznał nigdy, co przeżył w grobie!...

A wszak ci w trupach taka moc bywa,
Że trup i w grobie wiele przeżywa!

Lecz Bogu chyba, w dzień zmartwychwstania
W twarz rzuci wzgardę swego wyznania!”

I zamilkł rycerz – dumnie i godnie
I po dawnemu leżał wygodnie.

Jego kochanka z różańcem w ręku
Odeszła, pełna wstydu i lęku...

Ze zbioru
„Łąka”

[1920]

Topielec

W zwiewnych nurtach kostrzewy, na leśnej polanie,
Gdzie się las upodobnia łące niespodzianie,
Leżą zwłoki wędrowca, zbędne sobie zwłoki.
Przewędrował świat cały z obłoków w obłoki,
Aż nagle w niecierpliwej zapragnął żałobie
Zwiedzić duchem na przełaj zieleń samą w sobie.
Wówczas demon zieleni wszechleśnym powiewem
Ogarnął go, gdy w drodze przystanął pod drzewem,
I wabił nieustannych rozkwitów pośpiechem,
I nęcił ust zdyszanych tajemnym bezśmiechem,
I czarował zniszczotą wonnych niedowcieleń,
I kusił coraz głębiej – w tę zieleń, w tę zieleń!
A on biegł wybrzeżami coraz innych światów,
Odczłowieczając duszę i oddech wśród kwiatów,
Aż zabrnął w takich jagód rozdzwonione dzbany,
W taką zamrocz paproci, w takich cisz kurhany,
W taki bezświat zarośli, w taki bezbrzask głuchy,
W takich szumów ostatnie kędyś zawieruchy,
Że leży oto martwy w stu wiosen bezdeni,
Cienisty, jak bór w borze – topielec zieleni.

Gad

Szła z mlekiem w piersi w zielony sad,
Aż ją w olszynie zaskoczył gad.

Skrętami dławił, ująwszy w pół,
Od stóp do głowy pieścił i truł.

Uczył ją wspólnym namdlewać snem,
Pierś głaskać w dłonie porwanym łbem,

I od rozkoszy, trwalszej nad zgon,
Syczeć i wić się i drgać, jak on.

Już me zwyczaje miłosne znasz,
Zwól, że przybiorę królewską twarz.

Skarby dam tobie z podmorskich den,
Zacznie się jawa – skończy się sen!

Nie zrzucaj łuski, nie zmieniaj lic!
Nic mi nie trzeba i nie brak nic.

Lubię, gdy żądłem równasz mi brwi
I z wargi nadmiar wysysasz krwi,
I gdy się wijesz wzdłuż moich nóg,
Łbem uderzając o łoża próg.

Piersi ci chylę, jak z mlekiem dzban!
Nie żądam skarbów, nie pragnę zmian.

Słodka mi śliny wężowej treść –
Bądź nadal gadem i truj i pieść!

Róże

Ocknął się rycerz, snem zatrwożony,
Mówi po ciemku do swojej żony:
„Sen miałem, jakom zwykł,
Był tu, był tam – i znikł.

Widziałem we śnie róże i róże,
I twoją siostrę i noc w lazurze,
Tuż obok w sennych mgłach
Szedł ku niej na wprost gach.

Spłyńże mi cicho, jak krew po nożu,
Do jej alkowy, by tuż przy łożu,
Co dźwiga ciała znój,
Sen sprawdzić mój – nie mój!”

Zwlekła się pani z leż na kolana,
Z kolan powstała wyprostowana,
I poszła przed się w mrok,
Za krokiem glusząc krok.

Gdy do siostrzynej wnikła alkowy,
Szukała głowy obok jej głowy,
Obok lic – innych lic,
Lecz nie znalazła nic.

Ujrzała tylko róże i róże,
Wszystkie szkarłatne i bardzo duże,
Bo śpiąca, trwając wzdłuż,
Sen pasła jawą róż.

Upadła pani w mrok na kolana.
„Tak będę trudniej zowąd widziana!” –
Tamuje wonny dech,
Nocnych się bojąc ech.

Gdy północ wzmogła sny nieomylne,
Słyszy stąpanie bose i pilne –
Ściągnęła czujne brwi:
Ktoś wręcz otworzył drzwi.

Na klęczkach pani wzroku natęża,
Na klęczkach widzi, że duch jej męża
Idzie, drzwi tłumiąc ruch –
Śpi ciało – czuwa duch!

Idzie ku śpiącej w ogień i burzę,
Pomiędzy róże, pomiędzy róże!
Od róż ją bierze wpół,
W uścisku zwarł i skuł.

„Śpijmy oboje – i duch i ciało,
Niech żadne nie wie, co się z nim działo!”
Przegina śpiącą wznak,
By docałować tak!

Nad ranem pani powraca blada.
„Czy śpisz, mój mężu?” – Nie odpowiada.
„Różami sen twój czuć!
O zbudź się, zbudź się, zbudź!”

Budzi się rycerz i w oczy pyta:
„Cóżeś widziała, w mroku ukryta?

Czy mówić nie masz sił?
Byłże gach w łożu?" – „Był". –

„Czy szedł ku śpiącej w ogień i burzę,
Pomiędzy róże, pomiędzy róże?
Czy przegiął białą wznak?" –
„Tak – szepcze pani – tak". –

„A czyli widział ciebie, jak w mroku
Z dłonią na piersi, ze zgrozą w oku
Klęczałaś, zgięta w łuk?" –
„Widział i on i Bóg!" –

Porwał się rycerz ze swej łożnicy:
„Uchyl, śnie złoty, złotej przyłbicy!
Jam jest! Poznajesz mnie?"
„Nie inny byłeś w śnie!" –

„Spędzałem noce na sennej strawie,
Odtąd chcę żywą pieścić na jawie!" –
„Już – szepcze pani – już
Skonała wpośród róż!

We śnie zabiłam ciało bezszumne,
Złożyć kazałam w podwójną trumnę,
Dwie trumny – trzeci grób –
Trudny z nią będzie ślub!" –

A rycerz na to: „Zmarła za wcześnie!
Znowu ją muszę nawiedzać we śnie,
Do trumien wkroczę dwóch
Ja – pan, ja – sen, ja – duch!"

Ballada dziadowska

Postukiwał dziadyga o ziem kulą drewnianą,
Miał ci nogę obciętą aż po samo kolano.

Szedł skądkolwiek gdziekolwiek – byle zażyć wywczasu,
Nad brzegami strumienia stanął tyłem do lasu.

Stał i patrzał tem białkiem, co w niem pełno czerwieni,
Oj da-dana, da-dana! – jak się strumień strumieni!

Wychynęła z głębiny rusałczana dziewczyca,
Obryzgała mu ślepie, aż przymarszczył pół lica.

Nie wiedziała, jak pieścić – nie wiedziała, jak nęcić?
Jakim śmiechem pośmieszyć, jakim smutkiem posmęcić?

Wytrzeszczyła nań oczy – szmaragdowe płoszydła –
I objęła za nogi – pokuśnica obrzydła.

Całowała uczenie, i łechtliwie i czule
Oj da-dana, da-dana! – tę drewnianą, tę kulę!

Parskał śmiechem dziadyga w kark poklękłej ułudy,
Aż przysiadał na trawie, jakby tańczył przysiudy.
Aż mu trzęsła się broda i dwie wargi u gęby,
Aż się kulą obijał o perłowe jej zęby!

– „Czemuż jeno całujesz moją kłodę stroskaną?
Czemuż dziada pomijasz aż po samo kolano?

Za wysokie snadź progi dla czarciego nasienia,
Ty, wymoczku rusalny – ty, chorobo strumienia!

Pieszczotami to drewno chcesz pokusić do grzechu?
Oj-da-dana, da-dana! – umrę chyba ze śmiechu!” –

„Spowiła go ramieniem, okręciła, jak frygą!
– Pójdźże ze mną, dziadoku – dziaduleńku – dziadygo!

Będę ciebie niańczyła na zapiecku z korali,
Będę ciebie tuczyła kromką żwiru z pod fali.

Będziesz w moim pałacu miał wywczasy niedzielne,
Będziesz pijał z mej wargi pocałunki śmiertelne!”

Pociągnęła za brodę i za torbę żebraczą
Do tych nurtów pochłonnych, co się w słońcu inaczą.

Nim się zdążył obejrzeć – już miał falę na grzbiecie –
Nim się zdołał przeżegnać – już nie było go w świecie!

Zakłębiły się nurty – wyrównała się woda,
Znikła torba dziadowska i łysina i broda!

Jeno kloc ten chodziwy – owa kula drewniana
Wypłynęła zwycięsko – oj da-dana, da-dana!
Wypłynęła – niczyja, nie należna nikomu,
Wyzwolona z kalectwa, wypłókana ze sromu!

Brnęła tędy – owędy szukająca swej drogi,
Niby szczątek okrętu, co się wyzbył załogi!

Grzała gnaty na słońcu ku swobodzie, ku życiu,
Zapląsała radośnie na swem własnem odbiciu!

I we żwawych poskokach podyrdała przez fale
Oj da-dana, da-dana! – w te zaświaty – oddale!

Dusiołek

Szedł po świecie Bajdała,
Co go wiosna zagrzała –
Oprócz siebie – wiódł szkapę, oprócz szkapy – wołu,
Tyleż tędy, co wszędy, szedł z nimi pospołu.

Zachciało się Bajdale
Przespać upał w upale,
Wypatrzył zezem ściółkę ze mchu po pod lasem,
Czy dogodna dla karku – spróbował obcasem.

Poległ cielska tobołem
Między szkapą a wołem,
Skrzywił gębę na bakier i jęzorem mlasnął
I ziewnął w niebogłosy i splunął i zasnął.

Niewiadomo dziś wcale,
Co się śniło Bajdale?
Lecz wiadomo, że, szpecąc przystojność przestworza,
Wylazł z rowu Dusiołek, jak półbabek z łoża.

Pysk miał z żabia ślimaczy –
(Że też taki żyć raczy!) –
A zad tyli, co kwoka, kiedy znosi jajo.
Milcz, gębo nieposłuszna, bo dziewki wyłają!
Ogon miał ci z rzemyka,
Podogonie zaś z łyka.
Siadł Bajdale na piersi, jak ten kruk na snopie –

Póty dusił i dusił, aż coś warkło w chłopie!

Warkło, trzasło, spotniało!
Coć się stało, Bajdało?
Dmucha w wąsy ze zgrozy, jękiem złemu przeczy –
Słuchajta, wszystkie wierzby, jak chłop przez sen beczy!

Sterał we śnie Bajdała
Pół duszy i pół ciała,
Lecz po prawdzie nie długo ze zmorą marudził –
Wyparskał ją nozdrzami, zmarszczył się i zbudził.

Rzekł Bajdała do szkapy:
Czemu zwieszasz swe chrapy?
Trzebać było kopytem Dusiołka przetrącić,
Zanim zdążył mój spokój w całem polu zmącić!

Rzekł Bajdała do wołu:
Czemuś skąpił mozołu?
Trzebać było rogami Dusiołka postronić,
Gdy chciał na mnie swej duszy paskudę wyłonić!

Rzekł Bajdała do Boga:
O, rety – olaboga!
Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i wołka,
Jeszcześ musiał takiego zmajstrować Dusiołka?

Świdryga i Midryga

To nie konie tak cwałują i uszami strzygą,
Jeno tańczą dwaj opoje – Świdryga z Midrygą.

A nie stęka tak stodoła pod cepów bijakiem,

Jak ta łąka, zgana stopą srożej, niż kułakiem!

Zaskoczyła ich na słońcu Południca blada
I Świdrydze i Midrydze i tańcowi rada.

Zaglądała im do oczu chciwie, jak do żłobu.
„Który w tańcu mię wyhula, bom jedna dla obu?" –

„Moja będzie – rzekł Swidryga – ta pierś i ta szyja!" –
A Midryga pięścią przeczy: „Moja lub niczyja!"

Ten ją porwał za dłoń jedną, a tamten za wtórą.
„Musisz obu nam nastarczyć, skąpico-dziewczuro!"

A ona im prosto w usta dyszy bez oddechu,
A ona im prosto w oczy śmieje się bez śmiechu.

I rozdwaja się po równu, rozszczepia się żwawo
Na dwie dziewki, na siostrzane – na lewą i prawą.

„Dosyć ciała dwoistego mamy tu na łące!
Tańcześe z nami południami, dopóki jarzące!

Jedna dziewka rąk ma czworo i cztery ma łydy!
Niech upoją nas do reszty twe słodkie bezwstydy!"

Nasrożyli się do tańca, jak gdyby do boju –
Przysporzyli kwiatom zgiełku, łące – niepokoju.

Więc Świdryga pląsał z prawą, więc Midryga – z lewą,
Ten obcasem kurz zamiatał, a tamten – cholewą.

Na odsiebkę, na odkrętkę i znów na odwrotkę –

Podeptali macierzankę, błyszczkę i tymotkę!

Jeden wrzeszczał: „Konaj żywcem!", a drugi:
„Wciornaści!" Tańcowali aż do zdechu i aż do upaści!

Aż poczuli, że dziewczyna życie w tańcu traci,
I umarła jednocześnie we dwojej postaci.

„Pochowajmy owo ciało nie bardzo samotne,
Bo podwójne w tańcowaniu, a w śmierci dwukrotne.

Pochowajmy na cmentarzu, gdzie za drzewem – drzewo.
Zmówmy pacierz obopólny – za prawą i lewą".

W dwóch ją trumnach ułożyli, ale w jednym grobie –
A już huczy echo ziemne – tańczą trumny obie!

Tańczą, ciałem nakarmione, syte i hulaszcze,
Ukazując co raz w tańcu nie domkniętą paszczę.

Tańczą, skaczą i wirują, klepką dzwonią w klepkę,
Na odkrętkę, na odwrotkę i znów na odsiebkę!

Aż się kręci razem z nimi śmierć w skocznych lamentach,
Aż się wzdryga wnętrznościami przerażony cmentarz!

Aż się w sobie zatraciło błędne tańca koło,
Aż się stało popod ziemią huczno i wesoło!

Aż zmąciły się rozumy Świdrydze-Midrydze,
Jakby wicher je rozhulał na wiatraka śmidze!

I rozwiała się w ich głowach ta wiedza pomglona,

Gdzie jest prawa strona świata, a gdzie lewa strona?

W jakiej trumnie lewa dziewka, w jakiej prawa leży?
I która z nich i do kogo po śmierci należy?

Tak im w oczach opętanych świat się cały miga,
Że nie wiedzą, kto Świdryga, a kto z nich Midryga?

Jeno ujrzą otchłań śmierci czarną od ogromu:
„A bądźcie tu, ludzie dobrzy, jak u siebie w domu!

Jedna trumna dla jednego, dla drugiego – druga,
W jednej wieczność prawym okiem, w drugiej lewym mruga!”

Obłąkani nad przepaścią poklękali wzajem
I na klęczkach zatańczyli tuż, tuż nad jej skrajem.

Tańcowali na czworakach, tańcowali płazem,
Tak i nie tak – i na opak – razem i nie razem!

Aż wwichrzeni w mrok dwóch trumien, jak dwa błędne wióry,
Powpadali w otchłań śmierci nogami do góry!

Zielony dzban

To nie stu rycerzy, lecz sto trupów leży!
Nie sto trupów leży, jeno stu rycerzy!
A nie dla nich ruczaj dzwoni,
A bór szumny od nich stroni,
Jeno wicher we sto koni
Znikąd ku nim bieży.

Wybiła godzina – wiosna się zaczyna,

Z chaty poprzez kwiaty wybiega dziewczyna,
Dzban zielony, pełen wody,
Niesie zmarłym dla ochłody
W skwar śmiertelnej niepogody,
Co w proch wargi ścina.

Stopy moje – bose, skronie – złotowłose,
Kochałam, płakałam, zmarłym wodę niosę,
Oczerstwijcie ból wasz słony,
Smakiem śmierci podrażniony,
Cały ranek w dzban zielony
Ciułałam tę rosę.

Wypić – wypijemy, lecz nie ożyjemy,
Na polu w kąkolu żal się chwieje niemy,
A my leżym z ziemią w zmowie
W tym tu rowie i parowie,
Lecz nikt tego nie wypowie,
Gdzie my teraz, gdzie my?

Jedyny dobytek – ciszy w sobie zbytek
I snu podziemnego żmudny bezpożytek.
Nim sporządzisz dla nas sanie
Na wieczyste zimowanie,
Połóż wieniec na kurhanie
Z kalinowych witek.

W waszym zgromadzeniu, w natłoczonym cieniu,
Jest taki, co maki kładł mi na ramieniu,
Niech ze dzbana pije wodę,
Niech przypomni lata młode,

Gdy raz spojrzał w mą urodę
W nagłym zachwyceniu!

Płyną dni niezłomne, czasy nieprzytomne,
Nie wierzę, że leżę trzy lata ogromne!
Mak pamiętam purpurowy,
Ale twojej, dziewczę, mowy
I tej złotej w słońcu głowy
Już dziś nie przypomnę!

Chmurzą się błękity, płacze deszcz obfity,
Na trawie w murawie leży dzban rozbity,
Dzban rozbity leży, leży,
A śpi pod nim stu rycerzy,
A wiatr znikąd ku nim bieży,
Kurzawą okryty!

Śmiercie

Chodzą Śmiercie po słonecznej stronie,
Trzymający się wzajem za dłonie.

Którą z naszej wybierzesz gromady,
By w cmentarne uprowadzić sady?

Nie chciał pierwszej, że nazbyt miniasta,
Grób, gdy hardy, pokrzywą porasta.

Nie chciał drugiej, że nadmiernie złota,
Nie zna ciszy, kto się tak migota.

Wybrał trzecią, co choć bugulicha,
Lecz tak cicha, że wszystko nacicha.

Coś za jedna, że podobasz mi się
W swym bożystym na ziemi zarysie?

Żal mi, przeżal ptaka, co odlata,
Dla cię umrę z nieżalu do świata.

Blada jesteś, jak to słońce w zimie –
Kędy dom twój i jak ci na imię?

Dom mój stoi na ziemi uboczu,
A na imię nic nie mam, prócz oczu.

Nic w tych oczach nie mam, prócz wieczoru,
Pewna byłam twojego wyboru.

Jeden zowąd śmierć sobie wybiera,
Ale drugi tą śmiercią umiera.

Choć wybrałeś, nie wiedząc dla kogo,
Zawszeć będę pamiętną i drogą.

Jestem śmiercią twej matki, co w chacie
Uśmiechnięta czeka teraz na cię.

Strój

Miała w sadzie strój bogaty,
Malowany w różne światy,
Że gdy w nim się zapodziała,
Nie wędrując – wędrowała.
Strój koloru murawego,
A odcienia złocistego –

Murawego – dla murawy,
Złocistego – dla zabawy.

Zbiegło się na te dziwy aż stu płanetników,
Otoczyli ją kołem, nie szczędząc okrzyków.

Podawali ją sobie z rąk do rąk, jak czarę:
„Pójmy duszę tym miodem, co ma oczy kare!”

Podawali ją sobie z ust do ust na zmiany:
„Słodko wargą potłoczyć taki krzew różany!”

Porywali ją naraz w stu pieszczot zawieję:
„Dziej się w tobie to samo, co i w nas się dzieje!”

Dwojgiem piersi ust głodnych karmiła secinę:
„Nikt tak słodko nie ginął, jak ja teraz ginę!”

Szła pieszczota koleją, dreszcz z dreszczem się mijał,
Nim jeden wypił do dna – już drugi nadpijał.

Kto oddawał – dech chwytał, a kto brał – dech tracił,
A kto czekał za długo – rozumem przypłacił!

Sad oszalał i stał się nie znany nikomu,
Gdy ona, jeszcze mdlejąc, wróciła do domu.

Miała w oczach ich zamęt, w piersi – ich oddechy,
I płonęła na twarzy od cudzej uciechy!

„Jakiż wicher warkocze w świat ci rozwieruszył?”
„Ach, to strzelec – postrzelec w polu mnie ogłuszył!”

„Co za dreszcz twoim ciałem tak żarliwie miota?”
„Śniła mi się w śródleciu burza i pieszczota!”

Mać ją, płacząc, wyklęła – ojciec precz wyrzucił,
Siostra łokciem skarciła, a brat się odwrócił.

A kochanek za progiem z pierścieni ograbił,
I nie było nikogo, kto by jej nie zabił.

I nie było nikogo, kto by nie był dumny,
Że ją przeżył, gdy poszła wraz z hańbą do trumny.

Tylko Bóg jej nie zdradził i ślepo w nią wierzył
I przez łzy się uśmiechał, że ją w niebie przeżył.

„Ty musisz dla mnie polec na śmierci wezgłowiu,
A ja muszę dla ciebie trwać na pogotowiu!

Ty pójdziesz tą doliną, gdzie ustaje łkanie,
A ja pójdę tą górą na twoje spotkanie.

Ty opatrzysz me rany, ja twych pieszczot ciernie,
I będziem odtąd w siebie wierzyli bezmiernie!”

Miała w trumnie strój bogaty,
Malowany w różne światy,
Że gdy w nim się zapodziała,
Nie wędrując – wędrowała.
Strój koloru murawego,
A odcienia złocistego –
Murawego – dla murawy,
Złocistego – dla zabawy.

Ballada bezludna

Niedostępna ludzkim oczom, że nikt po niej się nie błąka,
W swem bezpieczu szmaragdowem rozkwitała w bezmiar łąka,
Strumień skrzył się na zieleni nieustannie zmienną łatą,
A gwoździki z poza trawy wykrapiały się wiśniato.
Świerszcz, od rosy napęczniały, ciemnił pysk nadmiarem śliny,
I dmuchawiec kroplą mlecza błyskał w zadrach swej łęciny,
A dech łąki wrzał od wrzawy, wrzał i żywcem w słońce dyszał,
I nie było tu nikogo, ktoby widział, ktoby słyszał.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż niema ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach niema?

Zabóstwiło się cudacznie pod blekotem na uboczu,
A tu jakaś mgła dziewczęca chciała dostać warg i oczu,
I czuć było, jak boleśnie chce się stworzyć, chce się wcielić,
Raz warkoczem się zazłocić, raz piersiami się zabielić –
I czuć było, jak się zmaga zdyszanego męką łona,
Aż na wieki sił jej zbrakło – i spoczęła niezjawiona!
Jeno miejsce, gdzie być mogła, jeszcze trwało i szumiało,
Próżne miejsce na tę duszę, wonne miejsce na to ciało.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż niema ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach niema?

Przywabione obcym szmerem, wszystkie zioła i owady
Wrzawnie zbiegły się w to miejsce, niebywałe węsząc ślady,

Pająk w nicość sieć nastawił, by pochwycić cień jej cienia,
Bąk otrąbił uroczystość spełnionego nieistnienia,
Żuki grały jej potrupne, świerszcze – pieśni powitalne,
Kwiaty wiły się we wieńce, ach, we wieńce pożegnalne!
Wszyscy byli w owem miejscu na słonecznym, na obrzędzie,
Prócz tej jednej, co być mogła, a nie była i nie będzie!

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż niema ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach niema?

Zaloty

Nędzarz bez nóg, do wózka na żmudne rozpędy
Przytwierdzony, jak zielsko do ruchomej grzędy,
Zgroza bladych przechodniów i ulic zakała,
Obsługując starannie brzemię swego ciała,
Kręci korbę, jak gdyby na lirze w czas słoty
Wygrywał swoje skoczne ku niebu turkoty –
I nad brzegiem urwistym tęczowych rynsztoków
Toczy się wraz z odbiciem zmydlonych obłoków,
Toczy się bałamutnie do dziewki z podwórza,
Do przystani stóp bosych – i ducha wynurza
Z łachmanów i wyciąga paździory swych dłoni
Ku jej zębom śnieżystym i tak mówi do niej
„Kocham strzęp twojej błotem zbryzganej spódnicy,
Kocham głośny twój oddech! Na całej ulicy
Ty jedynie mym ustom bywasz tak potrzebna!
Wiem, że moja tęsknota, niby szkapa źrebna,
Wlekąc mię, wyda na świat płód nowych udręczeń.
W tym mój tryumf, że jestem niestrudzony klęczeń

Twej krasy! Kochajże mnie! Nuże do pieszczoty!
Potwór błaga cię o nią! Przyjm moje zaloty!
Wnijdź naga i bezwstydna w mej nędzy bezdomność
I tak pieść, by wargami pożreć mą ułomność!”

Ona mu się broni,
A on mówi do niej
„Wszak musi ktoś pokochać to, co już się stało?
I ten wózek męczeński i korbę zbolałą,
I żądzę w resztkach cielska, jak w zgliszczach, poczętą,
I ten ochłap człowieka, co chce być przynętą!
Odsłoń czar w mej brzydocie! Znijdź z wyżyn do karła!
Bądź posłuszna mym dłoniom, jak ślepa lub zmarła!
Zdołam być nieodparty, jako grzech i zguba,
I potrafię wysiłkiem zmyślnego kadłuba
Zdobyć się na pieszczoty słodkie, jak czereśnie,
Których dotąd nikt nigdy nie oglądał we śnie!”

Ona mu się broni,
A on mówi do niej
„Małoż ci pół człowieka, by stał się twym skarbem?
Chcę być drogą ci raną, wiernym tobie garbem!
Czyż próżni, którą nóg mych nieobecność tworzy,
Nie zapełni ból, miłość ni jęk mych bezdroży?
Śmiech mię bierze! O, gdybym ziemię nieobjętą
Mlógł uderzyć raz w życiu zdrową, silną piętą
I widzieć, jak zdeptana pod stopą wygląda!
Spieszno mi w nieskończoność! Wiem, że mnie pożąda
I bez wstrętu spożyje me łachy i żale.
Są gdzieś dłonie mi chętne i usta – korale,
Co od głów się przesuną w pieszczocie ochoczej

Aż do stóp, których nie ma! Niech wóz się potoczy
Na przełaj – tam, gdzie właśnie ode mnie z daleka
Ktokolwiek, zwierz lub robak, na mą miłość czeka”

Ona mu się broni,
A on w zaświat stroni,
Ona go swoim czarem do bólu zachęca,
A on patrzy, nie patrząc, i korbę pokręca
I odjeżdża – odjeżdża – gdziekolwiek – pośpiesznie,
Ffurkocząc i furkocząc niezgrabnie i śmiesznie,
Odjeżdża, kalekując, w poszukiwań znoje,
W kraje przygód miłosnych, w wieczne niepokoje.

Szewczyk

W mgłach daleczeje sierp księżyca,
Zatkwiony ostrzem w czub komina,
Latarnia się na palcach wspina
W mrok, gdzie już kończy się ulica.
Obłędny szewczyk – kuternoga
Szyje, wpatrzony w zmór odmęty,
Buty na miarę stopy Boga,
Co mu na imię – Nieobjęty!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Boże obłoków, Boże rosy,
Naści z mej dłoni dar obfity,
Abyś nie chadzał w niebie bosy

I stóp nie ranił o błękity!
Niech duchy, paląc gwiazd pochodnie,
Powiedzą kiedyś w chmur powodzi,
Że tam, gdzie na świat szewc przychodzi,
Bóg przyobuty bywa godnie.

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Dałeś mi, Boże, kęs istnienia,
Co mi na całą starczy drogę –
Przebacz, że wpośród nędzy cienia
Nic ci, prócz butów, dać nie mogę.
W szyciu nic nie ma, oprócz szycia,
Więc szyjmy, póki starczy siły!
W życiu nic nie ma, oprócz życia,
Więc żyjmy aż po kres mogiły!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Garbus

Mrze garbus dosyć korzystnie:
W pogodę i babie lato.
Garbaty żywot miał istnie,
I śmierć ma istnie garbatą.

Mrze w drodze, w mgieł upowiciu,
Jakby baśń trudną rozstrzygał,
A nic nie robił w tym życiu,
Jeno garb dźwigał i dźwigał.

Tym garbem żebrał i tańczył,
Tym garbem dumał i roił,
Do snu na plecach go niańczył,
Krwią własną karmił i poił.

A teraz śmierć sobie skarbi,
W jej mrok wydłużył już szyję,
Jeno garb jeszcze się garbi,
Pokątnie żyje i tyje.

Przeżył swojego wielbłąda
O równą swej tuszy chwilę,
Nieboszczyk ciemność ogląda,
A on – te w słońcu motyle.

I do zmarłego dźwigacza
Powiada, grożąc swą kłodą:
„Co ten twój upór oznacza,
Żeś w poprzek legł mi przegrodą?

Czyś w mgle potracił kolana?
Czyś snem pomiażdżył swe nogi?
Po coś mię brał na barana,
By zgubić drogę w pół drogi?

Czemuś łbem utkwił na cieniu?
Z trudem w twych barach się mieszczę!

Ciekawym, wieczysty leniu,
Dokąd poniesiesz mnie jeszcze?”

Żołnierz

Wrócił żołnierz na wiosnę z wojennej wyprawy,
Ale bardzo niemrawy i bardzo koślawy.

Kula go tak schłostała po nogach i bokach,
Że nie mógł iść inaczej, jak tylko w poskokach.

Stał się smutku wesołkiem, skoczkiem swej niedoli,
Śmieszył ludzi tym bólem, co tak skacząc, boli.

Śmieszył skargi hołubcem i żalu wyrwasem
I żmudnego cierpienia nagłym wywijasem.

Zwlókł się do swej chałupy: „Idź precz popod płoty,
Niepotrzebny nam skoczek w polu do roboty!”

Pobiegł do swego kuma, co w kościele dzwonił,
Lecz ten nie chciał go poznać i kijem postronił.

Podreptał do kochanki, a ta się zaśmiała
Ramionami, biodrami, wszystką mocą ciała!

„Z takim w łożu drygałą mam tańczyć do śmierci?
Ciała ledwo ćwierć miary, a skoków – trzy ćwierci!

Ani myślę ci dotrwać w takim niedopląsie!
Ani myślę wargami sypiać na twym wąsie!

Zanadtoś mi wyskoczny do nieba na przełaj!

Idźże sobie gdziekolwiek i nie klnij i nie łaj!”

Więc poszedł do figury, co stała przy drodze:
„Chryste, na wskroś sosnowy, a zamyśl się srodze!

Nie wiem, czyja cię ręka ciosała wyśmiewna,
Lecz to wiem, że skąpiła urody i drewna.

Masz kalekie kolana i kalekie nogi,
Pewno skaczesz, miast chodzić, unikając drogi?

Taki z ciebie chudzina, takie nic z obłoków,
Że mi będziesz dobranym towarzyszem skoków”.

Chrystus, słysząc te słowa, zsunął się na ziemię,
Ów, co Boga wyciosał, bity bywał w ciemię!

Obie ręce miał lewe, obie nogi – prawe,
Sosnowymi stopami podziurawił trawę.

„Marna ze mnie sośnina, lecz piechur nie marny,
Przejdę wieczność piechtami, chociażem niezdarny.

Pójdziemy nierozłącznie, bo wspólna nam droga,
Będzie nieco człowieka, będzie nieco Boga.

Podzielimy się męką – podzielnać jest męka! –
Wszak ta sama nas ludzka skoślawiła ręka.

Tobie trocha śmieszności, mnie śmieszności trocha,
Kto się pierwszy – zaśmieje – ten pierwszy pokocha.

Ty podeprzesz mię ciałem, ja ciebie sośniną;

A co ma się nam zdarzyć, niech się zdarzy ino!”

I wzięli się za ręce i poszli niezwłocznie,
Wadząc nogą o nogę śmiesznie i poskocznie.

I szli godzin wieczystych nie wiadomo ile,
Gdzież bo owe zegary, co wybrzmią te chwile?

Mijały dnie i noce, którym mijać chce się,
I mijało bezpole, bezkrzewie, bezlesie.

I nastała wichura i ciemność bez końca
I straszna nieobecność wszelakiego słońca.

Kto tam z nocy na północ w burzę i zawieję
Tak bardzo człowieczeje i tak bożyścieje?

To dwa boże kulawce, dwa rzewne cudaki
Kuleją byle jako w świat nie byle jaki!

Jeden idzie w weselu, drugi w bezżałobie,
A obydwaj nawzajem zakochani w sobie.

Kulał Bóg, kulał człowiek, a żaden – za mało,
Nikt się nigdy nie dowie, co w nich tak kulało?

Skakali jako trzeba i jako nie trzeba,
Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!

Trzy róże

W sąsiedniej studni rdzawi się szczęk wiadra.
W ogrodzie cisza. Na kwiatach śpią skwary,

Spoza zieleni szarzeje płot stary.
Skrzy się ku słońcu sęk w płocie i zadra,
O wodę z pluskiem uderzył spód wiadra.

Spójrzmy przez liście na obłoki w niebie
I na promieni po gałęziach załom,
Zbliżmy swe dusze i pozwólmy ciałom
Być tym, czym wzajem pragną być dla siebie!
Spójrzmy przez liście na obłoki w niebie.

Woń róż, śpiew ptaków i dwie dusze znojne,
I dwa te ciała, ukryte w zieleni,
I ten ład słońca wśród bezładu cieni,
I najście ciszy nagłe, niespokojne,
Woń róż, śpiew ptaków i dwie dusze znojne.

A jeśli jeszcze, prócz duszy i ciała,
Jest w tym ogrodzie jakaś róża trzecia,
Której purpura przetrwa snów stulecia,
To wszakże ona też nam w piersi pała –
Ta róża trzecia, prócz duszy i ciała!

W malinowym chróśniaku...

W malinowym chróśniaku, przed ciekawych wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.
Palce miałaś naoślep skrwawione ich sokiem.

Bąk złośnik huczał basem, jakby straszył kwiaty,
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,
Złachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiory,

I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.

Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała,
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieszczoty
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całem niebie
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty.
I nie wiem, jak się stało, w którem okamgnieniu,
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,
Porwałem twoje dłonie – oddałaś w skupieniu,
A chróśniak malinowy trwał wciąż dookoła.

Rok nieistnienia

Nadchodzi rok nieistnienia, nadchodzi straszne bezkwiecie,
W tym roku wszystkie dziewczęta wyginą, niby motyle,
Ja pierwsza blednę samochcąc i umrzeć muszę za chwilę –
I już umieram – o, spojrzyj! – i już mnie nie ma na świecie!

Ucz się pożądać mej śmierci, ponętne pieścić nietrwanie,
Całować mrzonkę, co dla cię kształt ust czerwonych przybiera,
I wierzyć w radość mych cieni i w oczu mych obcowanie
Nie widzi, jeno obcuje ten, co naprawdę umiera.

Uczył się kochać umarłą, pieścił dłoń, której nie było,
Całował oczy zamknięte, każdą powiekę z osobna,
Porozumiewał się z piersią, jak z pełną pieszczot mogiłą –
Ale nie wiedział, co czuła, bo nazbyt była zagrobna.

Czy czujesz moje pieszczoty i pocałunki i radość?
Czyli nie bolą cię mroki i nieistnienia nadmiary?
O, wyznaj wszystko do końca, uczyń tęsknocie mej zadość,
Zadrżyj z miłości pośmiertnej, jeślić dostępne jej czary!

Czemuż tak wątpisz o zmarłej? Wszak już do cudów nawykam.
Miłości jestem posłuszna i szczęściu się nie opieram!
I czuję twoją pieszczotę i coraz bardziej zanikam,
I czuję twe pocałunki i coraz bardziej umieram.

Wieczorem

Wieczorem było, wieczorem,
Gdy zorza gasła nad borem.
Dzienny ulatniał się skwar,
Rosa nam spadła na głowy
I zmierzchem dymił się jar,
Jar kalinowy.

Zdaleka idzie, zdaleka
Ten mrok, co kwiatów się zrzeka.
Gdy, płosząc ospałą woń,
Chłód powiał nad pola zżęte,
O moją zagrzałaś skroń
Dłonie zziębnięte.

Nie wolno patrzeć, nie wolno
Bez pieszczot w ciemność dokolną!
Zbłąkanych w obszarach pól
Nie złączy żaden sen złoty,
Ni lęk, ni zgroza, ni ból,
Nic – prócz pieszczoty!

Dwoje ludzieńków

Często w duszy mi dzwoni pieśń, wyłkana w żałobie
O tych dwojgu ludzieńkach, co kochali się w sobie.

Lecz w ogrodzie szept pierwszy miłosnego wyznania
Stał się dla nich przymusem do nagłego rozstania.

Nie widzieli się długo z czyjejś woli i winy,
A czas ciągle upływał – bezpowrotny, jedyny.

A gdy zeszli się, dłonie wyciągając po kwiecie,
Zachorzeli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!

Pod jaworem – dwa łóżka, pod jaworem – dwa cienie,
Pod jaworem ostatnie, beznadziejne spojrzenie.

I pomarli oboje bez pieszczoty, bez grzechu,
Bez łzy szczęścia na oczach, bez jednego uśmiechu.

Ust ich czerwień zagasła w zimnym śmierci fiolecie,
I pobledli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!

Chcieli jeszcze się kochać poza własną mogiłą,
Ale miłość umarła, już miłości nie było.
I poklękli spóźnieni u niedoli swej proga,
By się modlić o wszystko, lecz nie było już Boga.

Więc sił resztą dotrwali aż do wiosny, do lata,
By powrócić na ziemię – lecz nie było już świata.

Dusza w niebiosach

Przybyła dusza na klęczkach do nieba w bożą obczyznę,

Nie chciała patrzeć na gwiazdy i na wieczności pierwszyznę.

Nie chciała uledz weselu, ni nowem jaśnieć obliczem,
Ani wspominać nikogo, ani zapomnieć o niczem.

I rozpuściła warkocze i pomyślała w błękicie,
Że w niekochanych objęciach przemarnowała swe życie.

Bez zdrady i bez oporu, starannie kryjąc swą ranę,
Pieściła usta nielube i oczy niemiłowane.

I trwała dla nich bezwolna, i kwitła dla nich bezduszna
I przezywała je – losem i była losom posłuszna.

A nie kochała tak tkliwie, a nie kochała tak czule,
Że nikt w jej jasnym uśmiechu nie trafił myślą na bóle.

Lecz teraz nagle pojęła, że wobec Boga i nieba
Już nic nie wolno ukrywać i nic ukrywać nie trzeba.

Śmierć w niej obnaża pośpiesznie prawdę tak długo tajoną,
Tą prawdą skrzą się źrenice, tą prawdą błyska się łono!
I dusza lękiem spłonęła, że wkrótce po jej pogrzebie
Przyjdzie w ślad za nią kochanek, aby odnaleźć ją w niebie.

Wyciągnie ku niej ramiona, ziemskiej wyzbyte rozpaczy,
I zajrzy w oczy i dawne jej niekochanie zobaczy.

W przeddzień swego zmartwychwstania

W przeddzień swego zmartwychwstania, w przeddzień żywota
Bóg, leżąc w mogile, żmudne liczy chwile,
A przykuła go do ziemi ciała ciężkota.

Śmierć mu w oczy wieje, a on samotnieje.
I śni mu się na wprost lica
Betlejemska błyskawica
I żłób i siano.

I śni mu się brzeg jeziora ozieleniały,
A smuga od łodzi po jeziorze chodzi,
I śnią mu się owe gaje, co tak szumiały,
Choć gajom boleśnie być marami we śnie!
A to wzgórze, to oliwne,
We wspomnieniach takie dziwne,
Takie dalekie!

I śnią mu się nasze twarze, niby niczyje,
Ręce nasze krwawe i lewe i prawe –
I to życie, co po śmierci nie wie, gdzie żyje,
Jeno szuka siebie po własnym pogrzebie.
Mówmy wobec jego zgonu
To, co mówi dzwon do dzwonu
Późnym wieczorem.

Nie zakłóćmy snu bożego, bożej niemoty!
Któż Boga obudzi pierwszy spośród ludzi?
Kto rozepnie w jego cieniu swoje namioty?
Cień się jego szerzy w bezbrzeż po bezbrzeży,
A my stójmy zwartym kołem
I śnijmy się Bogu społem,
Póki czas jeszcze.

Don Kichot

W jednym z pozagrobowych parków, uroczyście

Zamiecionym skrzydłami bezsennych aniołów,
W cieniu drzew, co po ziemskich dziedziczą swe liście
Pożółkłe i zbyteczne – z duszą, niby ołów,
Ciężką, chociaż pozbytą życia nędz i lichot,
Na ławie marmurowej wysmukły Don Kichot
Siedzi, dumając nad tem, że dumać nie warto,
I pośmiertnem spojrzeniem, co nie sięga dalej,
Niźli dłoń rozmodlona, obrzuca głąb alej,
Gdzie ślad życia na piasku starannie zatarto.

Bóg darmo dłoń ku niemu wyciąga z pobliża,
Ażeby go powołać na wspólne biesiady
We mgle, którą anioły, czyniąc znaki krzyża,
Rozpraszają dla gościa. Gość niezłomnie blady
Usuwa się i stroni i w pozgonnej ciszy
Udaje, że nie widzi nic i nic nie słyszy.

Niegdyś skrzydła wiatraków sen, posłuszny wiośnie,
Złocił mu w groźne miecze rycerskich orszaków,
A dzisiaj w dłoniach Boga, podanych miłośnie,
Widzi zdradliwe skrzydła ułudnych wiatraków,
I – nieufny – uśmiechem szyderczym przesłania
Możliwość nowych błędów, snów i opętania.
I nie postrzega nawet, jak nagle – bezszmerny
Anioł do stóp mu składa purpurową różę,
Przesłaną od Madonny na znak, że w lazurze
Pamięta o rycerzu, który był jej wierny.
Lecz on, niegdyś na ziemi istny wzór rycerza,
Znieważając wysłańca i dawczynię daru,
Odwraca twarz od róży, bo już nie dowierza
Kwiatom, które posądza o przebiegłość czaru.

Biały anioł się schyla nad niewiary jeńcem
I, całując go w czoło, przytłumionym głosem
Szepcze: „To także od Niej!”... I nagłym rumieńcem
Zapłoniony odlata. A rycerz ukosem
W ślad jego napowietrzny nieufnie spoziera
I zachwiany w niewierze raz jeszcze umiera
Ową śmiercią, co wszelkim pocałunkom wzbrania
Budzić takich umarłych i w dniu zmartwychwstania!

Łąka

I
Czy pamiętasz, jak głowę wynurzyłeś z boru,
Aby nazwać mnie Łąką pewnego wieczoru?
Zawołana po imieniu
Raz przejrzałam się w strumieniu –
I odtąd poznam siebie wśród reszty przestworu.

Przyszły do mnie motyle, utrudzone lotem,
Przyszły pszczoły z kadzidłem i mirrą i złotem,
Przyszła sama Nieskończoność,
By popatrzeć w mą zieloność –
Popatrzyła i odejść nie chciała z powrotem...

Kto całował mak w zbożu – nie zazna niedoli!
Trawa z ziemi wyrwana pachnie, lecz nie boli...
Kocham stopy twoje bose,
Że deptały kruchą rosę,
Rozróżniając na oślep chabry od kąkoli.

Niechże sen twój wędrowny zielenią poprzedzę!
Weź kwiaty w jedną rękę, a w drugą weź miedzę,

Połóż kwiaty na rozstaju,
Zwilżyj miedzę w tym ruczaju,
Co wie o mnie, że trawą brzeg jego nawiedzę.

Już słońce mimochodem do rowu napływa,
Skrzy się łopuch kosmaty i bujna pokrzywa –
Jeno pomyśl, że ci wolno
Kochać łątkę i mysz polną,
I przepiórkę, co z głuchym trzepotem się zrywa!

Idzie miłość po kwiatach – wadzi o twe ciało,
Zważaj, by ci przed czasem w słońcu nie zemdlało.
W mojej rosie, w moim znoju
Pod dostatkiem masz napoju
Dla wargi, przeciążonej purpurą dojrzałą.

Cień twej głowy do moich przybłąkał się cieni.
Wiem, że w oczach nie zdzierżysz tej wszystkiej zieleni,
A co w oku się nie zmieści,
To się w duszy rozszeleści!
Jeszcze dusza ci nieraz żywcem się odmieni.

Parna ziemia przez kwiaty żar dzienny wydycha,
Uschły motyl zesztywniał wśród jaskrów kielicha –
Oczarujmy się nawzajem,
Zaskoczeni nagłym Majem –
Maj się chyli ku nocy i miłość nacicha...

II
Nie nacicha ta miłość, co nie zna rozłąki!
Usta moje i piersi spragnione są Łąki!

Tam mój obłęd i ostoja,
Gdzie ty szumisz, Łąko moja!
Jakże pachną rozprute według ściegów pąki!

Rosą zwilżyj mi rzęsy, skostniałe od skwaru,
Zgłuchłe uszy orzeźwij falą twego gwaru,
A ja w kwiatach spodem dłoni
Nauzbieram różnej woni
I omyję twarz spiekłą w źródłach twego czaru.

Nie przeciwiąc się trawom, obnażę się cały,
Aby mnie tchnienia twoje; jak wierzbę, przewiały,
A ty paruj tym oparem,
Co pokłębił się nad jarem,
Niby przed snem zrzucony twój przyodziew biały.

Ucałować mi rąbki tego przyodziewu,
Że pełen twojej woni i twego przewiewu,
I zawiesić mi go potem
Na tej brzozie popod płotem
I zamierać pod brzozą od własnego śpiewu.

Dzisiaj chatę zamiotłem w jedno oka mgnienie,
Z czworga kątów różami wypłoszyłem cienie,
A próg, zdobny pajęczyną,
Namaściłem suto gliną
I wodą moje pylne skropiłem przedsienie.

Jużem sobie nie szczędził radosnych zabiegów,
Wypiekając chleb z mąki, srebrzystszej od śniegów,
A tę ławę, tę – dębową

Przesłoniłem chustą nową,
Co się cała zieleni, krom czerwonych brzegów.

Będą czekał na ciebie z dłonią na zasuwie,
Zasłyszawszy twój szelest, z nóg zdejmę obuwie,
Wyjdę bosy na spotkanie,
Śpiewający niespodzianie.
A śpiewając, pomyślę, że pacierze mówię.

Wyślij pierwej z nowiną co najlichsze ziele,
Potem sama się przybliż z kwiatami na czele –
Pędząc przed się wonne kwiaty,
Wnijdź do wnętrza mojej chaty,
Bo chcę tobie sam na sam opowiedzieć wiele.

III
Weszłabym do twej chaty, gdy mgły się postronią,
Lecz nie wiem, czy się zmieszczę wraz z rosą i błonią.
Pierwej z niebem posąsiaduj,
Wszystkie cuda poobgaduj,
Nim napełnisz tę chatę miłością i wonią!

Jeszczem ja w żadnej chacie dotąd nie bywała,
Wiem tylko, że przez szyby widnieję – niecała.
Jakże cała poprzez drogę
Do twej chaty wbiegnąć mogę?
Od naporu zieleni runie ściana biała!

Nie umawiaj się ze mną pod żadnym jaworem,
Bym ciebie nie dosięgła szumem a przestworem –
To, co szum wyśpiewa gwarnie,

Przestwór znajdzie i ogarnie!
A chata twoja stoi przede mną – otworem...

Mocniej zioła zapachną w cztery świata strony,
Gdy zbliżywszy je do ust, spojrzysz w nieboskłony...
Czy ta sama noc na niebie
Osłoniła mnie i ciebie,
Czy dwie noce odmienne, dwie różne zasłony?

A jeżeli dwie różne o różnym przezroczu,
Nie pokładźmy ich przeto w rosie – na uboczu,
Odmiennymi zasłonami
Powiewajmy nad drzewami,
Byśmy siebie nawzajem nie stracili z oczu!

Ja tu – na dnie zieleni, pod powierzchnią rosy,
A ty tam, kędy dla mnie kończą się niebiosy,
Czy się kończą, czy nie kończą –
Śpiewaj zowąd pieśń skowrończą,
Podzwaniając mi ostrzem rozbłyskanej kosy.

Kosą grozi twa miłość, co pożera kwiaty,
Sierpem zgarniasz do duszy mych maków szkarłaty,
Lecz miłości się nie boję,
Jeno w zgrozie ci dostoję,
Bo i Bogu jest słodki powiew mojej szaty!

Porwijże mnie ku sobie, jeślić starczy mocy!
Lecz co pocznie beze mnie ten wicher sierocy?
Chyba wstrzymam dla poznaki
Popod chatą wszystkie maki,

Aby mógł mnie, gdy zechce, odnaleźć po nocy.

IV
Nie odnajdzie cię wicher, mrokiem ociemniały!
Rozweselił się błękit, gwiazdy pomłodniały!
Opętały moją głowę
Przywidzenia kalinowe,
Że rozkwitam tej nocy, niby krzew zuchwały.

A nie było na ziemi tak zmyślnego krzewu,
Noc się chwieje na strony od jego zachwiewu –
Wonna liściem i żywicą
Stańże, duszo, nad krynicą,
Spójrz, czyś dosyć podobna zielonemu drzewu?

Przystroimy się wzajem!
Śpi w tumanie rzeka,
Śpi kałuża pod płotem, śpi sad i pasieka,
Baczmyż przez ten wieczór cały,
By się okna nie pospały
I drzwi chaty znużonej, co na radość czeka.

Przyjdzie radość tym szlakiem, który jej się zdarzy –
Bądźmy zawsze gotowi i zawsze na straży.
Księżyc utkwi ponad studnią,
Gwiazdy w mroku się zaludnią
Snem, co jeszcze daleki, choć się z bliska marzy.

Za daleka mi byłaś wpośród kwiatów cienia,
Łąko – zielona Łąko, szumna od istnienia!
Chcę, byś była taka bliska,

Jak ta łza, co gardło ściska,
Kiedy w nim się zapóźni śpiew twego imienia!

Zapóźniła się miłość, szukająca łona,
A któż taką spóźnioną na rosach pokona?
Straszno łodzią w świat popłynąć
I z miłości nie zaginąć
W tych falach, gdzie się tężą piersi i ramiona!

I w północnej ochłodzie dość dla mnie upału!
Idę, Łąko, ku tobie brzegiem mego szału.
Ani zbrojny, ani konny,
Z ramion twoich wyjdę – wonny
I duchem zroszonemu uśmiechnięty ciału!

Sama chata rozwarła drzwi oścież ku wiośnie,
Wnijdźże teraz po ciemku – nagle i zazdrośnie!
Drzwi klonowe zamknę szczelnie
I zaśpiewam nieśmiertelnie,
A potem spojrzę w ciebie na wskroś i bezgłośnie!

V
Byłoż owo, nie było? Opowiedz nam, bracie,
Co się nocy dzisiejszej działo w twojej chacie?
Widzieliśmy, ludzie prości,
Niepojętość Zieloności
Za oknami – na ścianach i na twojej szacie.

Mówimy śpiewający, bo łatwiej przy śpiewie
Mówić o tym, co było, a czego się nie wie...
Psy, poległe nad potokiem,

Poglądały ludzkim wzrokiem,
I wzrok ludzki był w gwiazdach i w tym ślepym drzewie.

A zasię w naszych oczach były gwiezdne znaki,
I nie mogliśmy poznać, gdzie ludzie, gdzie maki.
Wszystko wokół było – gwiezdne
I odlotne i odjezdne,
Gromadzące się w białe nad ziemią orszaki.

I zdawało się wszystkim, że coś w niebie woła,
A zielona się światłość jarzyła dokoła,
Sny się wzajem pobudziły,
Ludzkie ciała opuściły
I pobiegły śnić w kwiaty i w najmniejsze zioła.

W nagłym pląsie skrzypnęły wszystkie kołowroty,
Zahuczały te groble, śpiewne od niemoty,
I w powietrzu było cudno,
Niby ludno, choć bezludno,
Jakby w nim się roiło od świąt i tęsknoty.

A na przeciąg tej nocy za sennym zrządzeniem
Każdy przezwał się innym wobec gwiazd imieniem,
Więc gdy świt ozłocił dymy,
Ujrzeliśmy, że klęczymy,
Nie wiedząc, jak i kiedy zdjęci zapatrzeniem.

Powiedz nam, co się stało w tym polu czy w lesie,
Że się dotąd czujemy, jakoby w bezkresie,
A wyjednaj nam u kwiatów
Rozszerzenie ziemskich światów

Aż po owe oddale, dokąd oczom chce się...

I objaśnij nam potem słów śpiewną wspomogą,
Co rozbłysło w twej chacie ponad ciemną drogą?
Czy ją naszła piękna zmora,
Wykrzesana z wód jeziora,
Czy sen owy, co śni się w polu bez nikogo?

VI
Ani zmora z jeziora, ani sen skrzydlaty,
Lecz Łąka nawiedziła wnętrze mojej chaty!
Trwała ze mną na tej ławie,
Rozmawiając głośno prawie –
Na ścianach moich – rosa, na podłodze – kwiaty...

Nie grążyłem ja w niebie ni steru, ni wiosła,
Lecz mnie radość swym prądem zmiotła i uniosła.
Wieczność ku nam znikąd zbiegła,
U stóp naszych, warcząc, legła,
A pierś moja tej nocy chabrami porosła.

I było już wiadomo, że pułap sosnowy
Wonnym deszczem, jak obłok, pokropi nam głowy,
Bo nie snem się sny płomienią,
Jeno deszczem i zielenią –
Duch mi zbłąkał się w ciele, jak wpośród dąbrowy.

Przeto Bóg, co mnie stworzył, zbladł podziwem zdjęty,
Żem uszedł jego dłoniom w tych pokus odmęty!
W kształt mię ludzki rozżałobnił,
A jam znów się upodobnił

Kwiatom i wszelkim trawom i źdźbłom gorzkiej mięty.

Nawołujcie się ludzie, pod jasnym lazurem,
Chórem w światy spojrzyjcie, zatrwóżcie się chórem!
Miłość, wichrem rozpędzona,
Wszystko złamie i pokona,
Zaś tych, co się sprzeciwią, w śnie skrępuje sznurem!

A opaszcie świat cały ścisłym korowodem,
Aby wam się nie wymknął, schwytany niewodem...
Zapląsajcie, zaśpiewajcie,
Pieśnią siebie wspomagajcie,
Toć wejdziemy w świat – próżnią, aby wyjść – ogrodem!

Niechaj dusza wam będzie błękitami czynna,
Stoi przed nią otworem ta jasność gościnna,
Czegokolwiek zażądacie,
To się zjawi w waszej chacie,
Bo nastała godzina taka, a nie inna...

Ludzie – mgły, ludzie – jaskry i ludzie – jabłonie,
Rozwidnijcie się w słońcu, boć na pewno płonie!
Dla mnie – rosa, dla mnie – zieleń,
Dla was – nagłość rozweseleń,
A kto pieśni wysłuchał – niech mi poda dłonie!

Ze zbioru
„Napój cienisty”

[1936]

Pierwsza schadzka

Pierwsza schadzka za grobem! Rozwalona brama.
Stąpaj pilnie!... Ucałuj ten po drodze krzak.
Czy to – ty? – Już zmieniona, a jeszcze – ta sama?
Upewnij!... Wzrok mi słabnie... Podaj dłonią znak!

Nie ma znaków! Od dawna już w nic się rozwiały!
Nie ma żadnych upewnień! Nikt nie wierzy w nas!...
Zmilkły śmiechy w ciemnościach i płacze ustały.
W pajęczynie po kątach zagnieździł się – czas...

Zejdź z drogi – ćmom i kwiatom!... Postroń się złudzeniom!...
Chyba najrzeczywistszy jest ten – siana stóg...
Czemu płaczesz? – Dla ludzi, oddanych istnieniom,
Ból nasz – ledwo jest dreszczem księżycowych smug.

Dziewczyna

Władysławowi Jaroszewiczowi,
Jego entuzjastycznym zapałom
dla dzieł twórczych i szczerym
wyczuciom czarów poetyckich

Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadało mur od marzeń strony,
A poza murem płakał głos, dziewczęcy głos zaprzepaszczony.

I pokochali głosu dźwięk i chętny domysł o Dziewczynie,
I zgadywali kształty ust po tym, jak śpiew od żalu ginie...

Mówili o niej: „Łka, więc jest!" – I nic innego nie mówili,
I przeżegnali cały świat – i świat zadumał się w tej chwili...

Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mury tłuc z łoskotem!
I nie wiedziała ślepa noc, kto jest człowiekiem, a kto młotem?

„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!" –
Tak, waląc w mur, dwunasty brat do jedenastu innych rzecze.

Ale daremny był ich trud, daremny ramion sprzęg i usił!
Oddali ciała swe na strwon owemu snowi, co ich kusił!

Łamią się piersi, trzeszczy kość, próchnieją dłonie, twarze bledną...
I wszyscy w jednym zmarli dniu i noc wieczystą mieli jedną!

Lecz cienie zmarłych – Boże mój! – nie wypuściły młotów z dłoni!
I tylko inny płynie czas – i tylko młot inaczej dzwoni...

I dzwoni w przód! I dzwoni wspak! I wzwyż za każdym grzmi nawrotem!
I nie wiedziała ślepa noc, kto tu jest cieniem, a kto młotem?

„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!" –
Tak, waląc w mur, dwunasty cień do jedenastu innych rzecze.

Lecz cieniom zbrakło nagle sił, a cień się mrokom nie opiera!
I powymarły jeszcze raz, bo nigdy dość się nie umiera...

I nigdy dość, i nigdy tak, jak pragnie tego ów, co kona!...
I znikła treść – i zginął ślad – i powieść o nich już skończona!

Lecz dzielne młoty – Boże mój – mdłej nie poddały się żałobie!
I same przez się biły w mur, huczały śpiżem same w sobie!

Huczały w mrok, huczały w blask i ociekały ludzkim potem!
I nie wiedziała ślepa noc, czym bywa młot, gdy nie jest młotem?

„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!" –
Tak, waląc w mur, dwunasty młot do jedenastu innych rzecze.

I runął mur, tysiącem ech wstrząsając wzgórza i doliny!
Lecz poza murem – nic i nic! Ni żywej duszy, ni Dziewczyny!

Niczyich oczu ani ust! I niczyjego w kwiatach losu!
Bo to był głos i tylko – głos, i nic nie było oprócz głosu!

Nic – tylko płacz i żal i mrok i niewiadomość i zatrata!
Takiż to świat! Niedobry świat! Czemuż innego nie ma świata?

Wobec kłamliwych jawnie snów, wobec zmarniałych w nicość cudów,
Potężne młoty legły w rząd, na znak spełnionych godnie trudów.

I była zgroza nagłych cisz. I była próżnia w całym niebie!
A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?

W zakątku cmentarza

Mają zmarli w niedzielę ten pośmiertny kłopot,
Że w obczyźnie cmentarza czują się – bezdomnie –
A lubią noc tę spędzać popod mgłą lub popod
Wiecznością, co się w jarach gęstwi nieprzytomnie.

Maria z Bzówka – wygody wspomina izdebne,
Słońce – w łóżku, wiatr – w sieni – i ogród macierzyn,
Gdzie było tyle w radość uchodzących ścieżyn,
A wszystkie takie – trafne i drzewom – potrzebne!...

Żebrak, co się zadławił na śmierć krztyną chleba –
Kijem niegdyś wędrownym obłędnie się babrze
W nieodgadle błękitnym – pełnym Boga – chabrze,
By zeń dla snu wiecznego wydłubać – źdźbło nieba.

Mnich, co po to byt ziemski tłumił bez szemrania,
By pędzić żywot wieczny w sposób nienaganny –
Kreśli palcem na próchnie list do panny Anny
Z życzeniami rychłego w kwiatach – zmartwychwstania.

Panna Anna udaje, że jest – w bezżałobie
I biorąc na kolana młodą mgłę – pieszczochę –
Ukradkiem z pajęczyny tka zwiewną pończochę
Dla brzozy, co tkwi boso na kochanka grobie.

A opodal – mniej więcej naprzeciw rozstaju,
We fraku bezrozumnie skąsanym przez szczura,
Na czele kilku cieni żeńskiego rodzaju
Nieboszczyk Madaleński – prowadzi mazura.

Kocmołuch

Gdy śródlistne trzepoty gilów i jemiołuch

Zmącą ciszy cmentarnej ustrój niezawiły –
Cień z trudem z zaniedbanej wychodzi mogiły,
Cały w rdzach i liszajach – podziemny kocmołuch.

Słońce, grzejąc zmarłego, roztrwania po trawie
Złote krzty – złote supły i złotsze podłużki,
A on zmysłem nicości wyczuwa jaskrawie,
Jak śmierć w słońcu – w kształt nikłej maleje śmiertuszki...

Niezbyt pewny swej jawy i ufny snom niezbyt –
Spogląda oczodołów próżnicą wierutną
W obłoków napuszyście wybujały Bezbyt,
Poza którym nic nie ma, prócz tego, że smutno...

Lecz on smutek w pośmiertnej przekroczył podróży,
Pierś wzbogacił weselem nowego żywota,
A gdy mu nieśmiertelność zbyt modro się dłuży –
Tka snowi wieczystemu wezgłowie ze złota!...

Zazdroszczę mu, bo duszę do trosk ma niezdolną,
Nie wie, co to jest – nędza i żal i pustkowie.
Poznał przepych tajemnic! Niech wszystko opowie,
Bo już – czas! Bo już dłużej przemilczać nie wolno!

Lecz w chwili, gdy chcę zwiewne zadać mu pytania
O słonecznych utrudach, o gwiezdnych mozołach,
Widzę nagle, jak blednąc męczeńsko się słania
Ten zagrobnych ran pleśnią pokryty biedołach!...

W gęstwinie – cieniście je bezludzie i lśni tam
Zejście nieba na ziemię do drzew na uboczu –
A ja patrzę w mrok jego spustoszałych oczu

I nie pytam już o nic... Już o nic nie pytam...

Wiosna

Takiej wiosny rzetelnej, jaką w swym powiecie
Widział Jędrek Wysmółek – nikt nie widział w świecie!

Poprzez okno karczemne łeb w bezmiar wyraził
I o mało się w durną mgłę nie przeobraził!

Lecz umocnił się w karku i nieco przybladłszy,
Łbem pochwiał dla otuchy, i splunął i patrzy...

Jego własna chałupa wraz z babą i sadem
Odwróciła się nagle nieproszonym zadem.

Wieprz-znajomek, nie większy na pozór od snopa,
Biegnie w skradzionych portkach Magdzinego chłopa.

Ryj mu Lilią zakwita! Czar bije od przodu!
I z wołaniem: „Gdzie Magda?" – pcha się do ogrodu!

Wóz drabiasty, jaskółczej doznając uciechy,
Z okrzykiem: „Co ja robię?" – frunął ponad strzechy.

A wójt w ślad mu się jarzy to modry, to złoty
I zębami przedrzeźnia znikłych kół turkoty.

Wywróconą na opak do rowu ulicą
Mknie Kachna i płonącą powiewa spódnicą.

Wichrzy się i pokłębia i upałem bucha,
Cała w ogniu i szumie! Pożar – nie dziewucha!

Skry miota wedle woli – nie szuka powodu,
I z szeptem: „Moja wina!” – dymi się od spodu!

A Maciej – ten z przeciwka, co to brak mu klepki,
Konno dybie w niebiosy wesoły i krzepki!

Cały w różach i malwach, coraz nieznajomszy
Pyskiem w niebie wydziwia, jakby służył do mszy.

Tuż obok, jak to bywa między błękitami,
Przelatuje siedząco Pan Bóg z aniołami.

A ten wrzeszczy od rzeczy i na koniu pstroku
To skoczy, to zje malwę, to ginie w obłoku!

Akteon

Powieść o Akteonie: wiosna szumi w borze.
Podpatrzył w blask boginię, skąpaną w jeziorze.
Za karę go w jelenia przedzierzgnęła mściwie.
Pokrwawiła się wieczność o leśne igliwie!...
Psy go własne opadły, szarpiąc, jak zwierzynę!
Wpośród godzin istnienia miał taką godzinę!...
Próżno bronił obcego, które boli, ciała!
Śmierć go, psami poszczuwszy, z jeleniem zrównała...
Próżno wzywał na pomoc dawnych towarzyszy,
Nasłuchując ich kroków na pobrzeżach ciszy!
Nikt nie poznał po głosie i po znoju rany,
Że to człowiek – nie jeleń! Duch – upolowany!
Nikt nie zgadł tajemnicy narzuconych wcieleń!
Musiał być tym, czym nie był! I zginął, jak jeleń!

I jam niegdyś był inny. Dziś jeszcze się złocę.

A złociłem się bardziej... Świadkami – złe noce!
Pamiętam dawnych braci rozbłyskane twarze.
Wówczas o czymś marzyłem... Dziś blednę, gdy marzę!
Nikt nie umiał tak istnieć, jak ja, w tej godzinie,
Gdym cię, Boże, podpatrzył! – Duch mój odtąd ginie!
Przemieniony w człowieka za nędzę mej zbrodni,
Dźwigam obce mi ciało w blask Bożej pochodni!
I ginę śmiercią; obcą, co mym kościom przeczy...
Inna mi się należy!... Nie chcę tej – człowieczej!...
Ginę, w ludzką powłokę wsnuty, jak w płaszcz zgrzebny.

Kto mnie pozna po płaszczu? Precz z nim!
Niepotrzebny! Kto mnie pozna po głosie, że to ja tak śpiewam?
Milcz, glosie! Nie mój jesteś! Swego już nie miewam...
Majacząc cudzych kształtów zgubną niepodobą,
Nawet w śmierci godzinie nie mogę być sobą!
Krwawą zmorę jelenia unosząc śród powiek,
Próżno wołam o pomoc! – I ginę, jak człowiek!

Alcabon

Był na świecie Alcabon. Był, na pewno był!
O brzóz przyszłość wiódł z mgłami walki nieustanne.
Próżnię życia na karku dźwigał z całych sił!
„Tere – fere!" – tak śpiewał,
Gdy się śmierci spodziewał,
Aż pokochał osiadłą na strychu Kuriannę.

Dur go pchał wzwyż po schodach. Dur, na pewno dur!
We łbie miał złote mroczki i srebrne zamiecie,
Gdy wspinając się ku niej, dawał baczny zór
Na czar, co się po cichu

Tak utrwala na strychu,
Jakby miejsca zabrakło gdzie indziej na świecie.

W drzwi uderzył oburącz. W drzwi, na pewno w drzwi!
Ktokolwiek w drzwi kołacze – niech wejdzie i kocha!
Kurianna, jak Kurianna... Śni raczej, niż drwi...
Na barłogu – od środka
Patrzy duża i słodka –
Lgnie do niej ufna ciału koszula – ciasnocha.

Znój mu wargi przynaglił! Znój, na pewno znój!
Szedł do niej po ciemnościach, jak wicher po łanie!
Kto ma oczy – niech widzi! Był ich cały trój:
On i barłóg, i ona,
I wyrychlił ramiona,
By ją porwać na trwałe wbrew światu kochanie!

Biel jej ciała przywłaszczał. Biel, na pewno biel!
A chłonęła go w siebie ciszkiem, jak mogiła,
Poznał, czym jest czar nocy, szept i chętna ściel,
I tak skochał dziewczynę,
Że wołała w mrok: „Ginę!" –
Bo się pierwszej miłości niechcący broniła.

Gil jej w uszach zadzwonił. Gil, na pewno gil!
Tak tętniła krwią śpiewną, tak drżała w głąb chcenia...
Zdzierż szczęście!... Nie zdzierżyła!... Ledwo kilka chwil!...
Nienawykła do czary,
Zmarła z westchnień nadmiaru,
Umierając, nie miała nic do powiedzenia!

Strych zawinił wszystkiemu! Strych, na pewno strych!
Z jego wyżyn dał w nicość nura bezpowrotnie –
Zaśmiał się w samo niebo, a przy ziemi ścichł,
Pilnej śmierci cios tępy
Duszę rozpruł na strzępy,
Aż się z niej wysypały skarby dożywotnie!

Piach się z duszy wysypał! Piach, na pewno piach!
Ten, co w podróż się złoci do zorzy, gdy kona –
Bochen chleba w gwiazd wieńcu – skrót pałacu w mgłach –
Rzęsa Boża – dwie pszczoły –
I trzy z wosku anioły.
Czego tylko nie było w duszy Alcabona!

Poeta

Zaroiło się w sadach od tęcz i zawieruch;
Z drogi! – Idzie poeta – niebieski wycieruch!
Zbój obłoczny, co z światem jest – wspak i na noże!
Baczność! – Nic się przed takim uchronić nie może!
Słońce – w cebrze, dal – w szybie, świt – w studni, a zwłaszcza
Wszelkie dziwy zza jarów – prawem snu przywłaszcza.

Rad Boga między żuki wmodlić – do zielnika,
Gdzie się z listem miłosnym sam jelonek styka!...
Świetniejąc łachmanami – tym żwawszy, im golszy –
Nie bez wróżb się uśmiecha do grabu i olszy –
I widziano w dzień biały tego obłąkańca,
Jak wierzbę sponad rzeki porywał do tańca!
A tak zgubnie porywać, mimo drwin i zniewag –
Zdoła tylko z otchłanią sprzysiężony śpiewak.
Żona jego, żegnając swój los znakiem krzyża,

Na palcach – pełna lęku do niego się zbliża.
Stoi... Nie śmie przeszkadzać... On słowa nawleka
Na sznur rytmu, a ona płochliwie narzeka
„Giniemy... Córki nasze – w nędzy i rozpaczy...
A wiadomo, że jutro nie będzie inaczej...
Wleczesz nas w nieokreślność... Spójrz – my tu pod płotem
Mrzemy z głodu bez jutra, a ty nie wiesz o tem!" –
Wie i wiedział zawczasu!... I ze łzami w gardle
Wiersz układa pokutnie – złociście – umarle –
Za pan brat ze zmorami... Treść, gdy w rytm się stacza,
Póty w nim się kołysze, aż się przeinacza.
Chętnie łowi treść, w której łzy prawdziwe płoną –
Ale kocha naprawdę tę – przeinaczoną...
I z zachłanną radością mąci mu się głowa,
Gdy ujmie niepochwytność w dwa przyległe słowa!
A słowa się po niebie włóczą i łajdaczą –
I udają, że znaczą coś więcej, niż znaczą!...

I po tym samym niebie – z tamtej ułud strony –
Znawca słowa – Bóg płynie – w poetę wpatrzony.
Widzi jego niezdolność do zarobkowania
I to, że się za snami tak pilnie ugania!
Stwierdza z zgrozą, że w chacie – nędza i zagłada –
A on w szale występnym wiersz śpiewny układa!
I Bóg, wsparty wędrownie o srebrzystą krawędź
Obłoku, co się wzburzył skrzydłami, jak łabędź –
Z łabędzia – do poety, zbłąkanego we śnie –
Uśmiecha się i pięścią grozi jednocześnie!

Urszula Kochanowska

Gdy po śmierci w niebiosów przybyłam pustkowie,

Bóg długo patrzał na mnie i głaskał po głowie.

„Zbliż się do mnie, Urszulo! Poglądasz, jak żywa...
Zrobię dla cię, co zechcesz, byś była szczęśliwa".

„Zrób tak, Boże – szepnęłam – by w nieb Twoich krasie
Wszystko było tak samo, jak tam – w Czarnolasie!" –

I umilkłam zlękniona i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?

Uśmiechnął się i skinął – i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz – Czarnolaski.

I sprzęty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela!

I rzekł: „Oto są – sprzęty, a oto – donice.
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!

I ja, gdy gwiazdy do snu poukładam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!"

I odszedł, a ja zaraz krzątam się, jak mogę –
Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę –

I w suknię najróżowszą ciało przyoblekam
I sen wieczny odpędzam – i czuwam – i czekam...

Już świt pierwszą roznietą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słychać kroki i do drzwi pukanie...

Więc zrywam się i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!

Serce w piersi zamiera... Nie!... To – Bóg, nie oni!...

W czas zmartwychwstania

W czas zmartwychwstania Boża moc
Trafi na opór nagłych zdarzeń.
Nie wszystko stanie się w tę noc
Według niebieskich wyobrażeń.

Są takie gardła, których zew
Umilkł w mogile – bezpowrotnie.
Jest taka krew – przelana krew,
Której nie przelał nikt – dwukrotnie.

Jest takie próchno, co już dość
Zaznało grozy w swym konaniu!
Jest taka dumna w ziemi kość,
Co się sprzeciwi – zmartwychwstaniu!

I cóż, że surma w niebie gra,
By nowym bytem świat odurzyć?
Nie każdy śmiech się zbudzić da!
Nie każda łza się da powtórzyć!

* * * [Po co tyle świec nade mną, tyle twarzy...]

Po co tyle świec nade mną, tyle twarzy?
Ciału memu już nic złego się nie zdarzy.

Wszyscy stoją, a ja jeden tylko leżę –
Żal nieszczery, a umierać trzeba szczerze.

Leżę właśnie zapatrzony w wieńców liście,
Uroczyście – wiekuiście – osobiście.

Śmierć, co ścichła, znów zaczyna w głowie szumieć,
Lecz rozumiem, że nie trzeba nic rozumieć...

Tak mi ciężko zaznajamiać się z mogiłą,
Tak się nie chce być czymś innym, niż się było!

Trupięgi

Kiedy nędzarz umiera, a śmierć swoje proso
Sypie mu na przynętę, by w trumnę szedł boso,
Rodzina z swej ofiarnej rozpaczy korzysta,
By go obuć na wieczność, bo zbyt jest ciernista –
I grosz trwoniąc ostatni dla nóg niedołęgi,
Zdobywa buty z łyka, tak zwane trupięgi.
A gdy już go wystroi w te zbytki żebracze,
Wówczas dopiero widzi, że nędzarz – i płacze!

Ja – poeta, co z nędzy chciałem się wymigać,
Aby śpiewać bez troski i wieczność rozstrzygać,
Gdy mnie w noc okradziono, drwię z ziemskiej mitręgi,
Bo wiem, że tam – w zaświatach mam swoje trupięgi!
Dar kochanki czy wrogów chytra zapomoga? –
Wszystko jedno! W trupięgach pobiegnę do Boga!
I będę się chełpliwie przechadzał w zaświecie,
Właśnie tam i z powrotem po obłoków grzbiecie,
I raz jeszcze – i nieraz – do trzeciego razu,
Nie szczędząc oczom Boga moich stóp pokazu!
A jeśli Bóg, cudaczną urażony pychą,
Wzgardzi mną, jak nicością, obutą zbyt licho,
Ja – gniewny, nim się duch mój z prochem utożsami,
Będę tupał na Niego tymi trupięgami!

* * * [Bóg mnie opuścił – nie wiem, czemu...]

Bóg mnie opuścił – nie wiem czemu...
Źle Mu w niebiosach! Wiem, że źle Mu...

Ojciec mój tak swą śmierć przeoczył,
Że idąc do dom – w grób się stoczył.

Siostra umarła z łez i z głodu,
A wszyscy mówią: „Bez powodu!"

A brat mój tak się z bólem ścierał,
Żem nasłuchiwał, gdy umierał...

Kochanka moja teraz ginie,
Żem ją pokochał w złej godzinie.

A ja – nim miasto w mroku zaśnie –
Idę ulicą, idę właśnie...

Do siostry

Spałaś w trumnie snem własnym, tak cicho, po bosku,
Nie wiem, czy wszystkich naraz pozbawiona trosk?
W śmierci taka zdrobniała, niby lalka z wosku...
Kocham ten ubożuchny, ten zbolały wosk!

Trup jest zawsze samotny! Sam na sam z otchłanią!...
A właśnie ja – twój brat –
Suknię Tobie sprawiłem za dużą i tanią,
Suknię – na tamten świat!

W każdym zgonie tkwi zbrodnia, co snem się powleka.
Chociaż zbrodniarza brak...

Wszyscy winni są śmierci każdego człowieka!
O, tak! Na pewno – tak!

Winnych wskazać potrafię!... I nikt się nie broni!...
I ten – i ta – i ów!...
I ja sam! Ja – najbardziej, choć wiem, że i oni!
I ja – i oni znów...

Wina wszystkich naokół – milcząca, zbiorowa,
A my mówimy: los!
Niech od złego Bóg żywych i zmarłych zachowa!
Módlmy się o to w głos!

Tak się lękam, że jesteś wciąż głodna i chora,
Że złą otrzymam wieść –
I że przyjdziesz zza grobu któregoś wieczora
I szepniesz: „Daj mi jeść!”

I cóż wtedy odpowiem? Nic mówić nie trzeba!...
Niech mówi za mnie – Bóg!
Siostro! Już w całym świecie nie ma tego chleba,
Co by Cię karmić mógł!

Trumna twoja spoczęła w ciężarowym wozie,
Pamiętam nudny wóz.
A była niedorzeczność i drwina w tej zgrozie!
I był nieludzki mus!

Bałem się, że Cię żywcem oddamy mogile
W złym, letargicznym śnie.
I ktoś wtargnął do wozu i rzekł, że się mylę,
I uspokoił mnie.

Czekałem, aż wóz ruszy, by wlec Cię do miasta...
W skwar słońca skrzypnął wóz.
Drgnęła trumna, a była godzina dwunasta.
Żelazny zagrzmiał kłus!...

I sam nagle w tym słońcu musiałem pozostać.
Patrzyłem szynom w ślad...
Świat się zmniejszył na zawsze o twą drobną postać,
I zmalał cały świat!

I myśl wątła do mojej wsnuła się żałoby,
Niby pajęcza nić,
Myśl, że nie ma na świecie tak drogiej osoby,
Bez której nie można żyć!

Noc, przy zmarłych spędzona nazywa się – pusta!
Brak tego, o kim łkasz...
Zgniją oczy – i wyraz tych oczu – i usta.
Śmierć patrzy w kość, nie w twarz!...

Wiem, że gnijesz nabożnie i że wśród ciemnoty
Pośmiertny dźwigasz krzyż.
Lecz nie śmiem do podziemnej zaglądać Golgoty,
By sprawdzić, jak tam spisz?

Trup trzeźwieje – wyzuty z krwi i upojenia!
Już złudzeń – ani krzty!
A może Bóg omija twój zgręz bez imienia
I nie wie, że to – Ty?

Boże, odlatujący w obce dla nas strony,

Powstrzymaj odlot swój –
I tul z płaczem do piersi ten wiecznie krzywdzony,
Wierzący w Ciebie gnój!

W nicość śniąca się droga

Poistniały czerwienie na niebiosów uboczu –
Poistniały dla nikogo, samym sobie raczej – wbrew...
I nie umiem powiedzieć, skąd uległość mych oczu
Tym zarysom drzew na chmurze... Trzebaż oczom takich drzew?...

Wiem, że muszę wypatrzeć w nicość śniącą się drogę.
Odchodzimy gdzieś co chwila i co chwila brak nam lic...
I nie mogę cię pieścić i nie pieścić nie mogę –
Tylko patrzę w zmierzch za tobą i nie pragnę widzieć nic.

Usta twoje – daleko! Usta twoje – tak blisko!
Serce w żalu zatwardziałe do rąk białych weź i złam!
Czy pamiętasz ów ogród – płot wysoki – mgłę niską?
Mgła – to człowiek niepotrzebny, snem mi równy – taki sam!

Coś tam o nas przez liście zaszeptało do cienia –
Potoczyło się po drzewach – zrozumiało nas – i lśni
W ustach twoich – tkwi chłodna odrobina znużenia –
Więc pójdziemy do ogrodu! Poszukamy zmarłych dni!

Jest tam ścieżka znajoma – i jest drzewo za bramą.
Czy pamiętasz, jak się idzie? Trzeba minąć cały świat!
Wdziej tę suknię, co wtedy!... Włosy uczesz tak samo!
I pójdziemy do ogrodu... Ty idź – pierwsza... Pójdę w ślad...

Słowa do pieśni bez słów

Kto cię odmłodzi, żywocie wieczny? Sam się przeinacz!
Razem z chmurą się spłomień w zórz szkarłatnej zagęstce.
A ja – obłędny nie istniejących zdarzeń wspominacz –
Bywam tobie najbliższy tylko we śnie i w klęsce...

Nie było dolin – a jednak smutek stał w dolinie...
I choć wróżek nie było – w mgłach mówiono o wróżce...
Brzegiem obłoków fijolet płynie. Myśli, że płynie.
Sen się boczy na tego świateł w nicość rozprószcę.

W odmętach nocy niech ciał się strzeże bezbronne ciało,
Niech swe losy przesłania byle jakim błękitem.
W moim ogrodzie coś się znagliło i zaszemrało –
Zaszemrało, jak gdyby ktoś się rozstał z niebytem.

Znam ja na pamięć jedną dziewczynę... Znam jej westchnienia
I mym ustom uległość pieszczotliwie zawiłą.
Nic w niej nie było, oprócz uśmiechu i przeznaczenia –
I kochałem ją za to, że więcej nie było.

Znam taką duszę, co cmentarniejąc nie do poznania,
Sztuczną różę w śmierć niosła... Była niegdyś różystką...
Skąd ten świat cały? – I róże sztuczne?... I czyjeś łkania?
I ja – w świecie – i ptaki – i pogrzeby – i wszystko?

Znam ja złocistość, co śni się niebu w imię rezedy...
Dla snów błędnych jest człowiek – lada bożą ustronią.
Grał niegdyś wieczór – i łódź się moja rozbiła wtedy
O tę zgubną złocistość. Tak się stało, że o nią.

Zorza dokrwawia swój żal do nieba w czerwieniach pustych,
A obłoki gasnące chcą w bezludny świat urość.

Czymże jest dla mnie – albo dla jezior – albo dla brzóz tych
Głuchoniemej wieczności zaraźliwość i burość!

Czym tajemnicę w niepowtarzalnych dreszczach roztrwonił,
Gdym twe ciało w ciemnościach pieszczotami przejaśnił?...
Świat się już dla mnie dość nanicestwił i nastronił –
I jam dość się dla świata naczłowieczył i naśnił!

Śpieszno mi teraz do zmartwychwstania kilku topoli,
Co szumiały w pobliżu zanikłego w snach domu!
Śpieszno mi teraz do zatajonej w gwiazdach niedoli,
Którą muszę sam przeżyć, nic nie mówiąc nikomu.

I co ja zrobię po śmierci z sobą i całym światem?
Czy w twych łzach się zazłocę? Czy się we mgle – zniebieszczę?
Mrok nieodparty zszedł się w ogrodzie z bezwolnym kwiatem –
Myśmy byli w tym mroku i będziemy tam jeszcze!

Marsjanie

Zagrzmi w niebie okrętów napowietrznych tęt,
Niepokojąc międzygwiezdnych mgieł rozwiewisko.
Zniknie złuda przestrzeni, wyzwolonej z pęt –
Dość pomyśleć, że daleko, a już jest – blisko.

Na oścież się zasrebrzy księżycowy wstęp
Do bożymy – daleczyzny, w szmer i otchłanie –
A dołem – szumy leśne, zgielk drozdów i zięb –
I na ziemię wylądują zwiewni Marsjanie.

Stopą obcą dotknięta – westchnie ziemi twardź,
I na chwilę to, co ziemskie, chętnie się zaćmi.
Po wiekach wyczekiwań i tych z niebem starć

Spokrewnimy się obłocznie z nowymi braćmi.

W ich oczach – wiary w Oddal nie gasnący płom,
A w ich piersi – bezmiar żywy, swoisty, rdzenny.
Poczną nam się przyglądać w bezczasie jak snom –
I na zawsze się ustali ten pogląd senny...

A przywiozą nam z nieba – rozmodlone ćmy,
I zwierzęta zadumane – i zgubne baśnie.
I nagle zrozumiemy, że to jeszcze – my –
Że nie mogło być inaczej – tylko tak właśnie!...

W uczonej złocistości ich wróżebnych ksiąg
Wieszcz, co bogów nie odróżnia od chmur i łątek –
W czasie przeszłym – dni przyszłych spowiada ciąg
I pośmiertną wiedzą krzepi istnienia wątek...

Jakiś bóg z ich orszaku (złoć się, mrzonko, złoć!)
Zawieruszy się w jeziornym nieba odbiciu
I malejąc w docześnie srebrniejącą płoć,
Modrą wieczność w tym podwodnym wchłonie przeżyciu.

A ich elfy, co cierpią z dala od swych gwiazd
Na bezsenność wpośród kwiatów (o, gwiezdniej cierpcie!),
W żal pobiegną przez nagle urojony chwast,
A ż w tym chwaście zaszeleszczą ich żwawe kierpcie.

Słyną z czarów Marsjanki!... Niezgadniona płeć
Od ust naszych je przegrodzi – ledwo snu zasiedzą...
Byle tylko miłować i naglić i chcieć –
A nauczą nowych pieszczot, bo o czymś wiedzą...

Któż się zdoła domyśleć, jaki strach i szał
Pała w oczach, co się w słońcu mienią na opal!
Czym jest wobec tych niebem nasyconych ciał
Nasze ziemskie dziewuszątko i jego – chłopal?...

Z nich jedna – wiem na pewno, że pokocha mnie,
Ku mnie ciałem – wzbronnym światu – występnie spłonie.
Obczyzno, przyswojona w pieszczocie i śnie!...
Tajemnico, co posiadasz – usta i dłonie!

Za jej sen – w mym uścisku, za pieszczotę nóg,
Za wniknięcie pocałunkiem w jej czary żyzne –
Oddam chętnie, natychmiast – na rozstaju dróg –
Żywot wieczny i tę całą – zagrobowiznę!

W ślad za nią będzie kroczył niewidzialny mops,
Co podziemne węsząc zmory, wyje w niebiosy
Lub szczeka głosem czujnie rozśpiewanych kobz,
By odstraszyć złe uroki – złe sny – złe losy.

Jak brzmieć będzie jej imię – nie wiem, ale wiem,
Że wprowadzi mnie w głąb cudów – przez szum i trawę
Tak, że drzewa, roślinny przerywając zdrzem,
Z jednej jawy wejdą w drugą – i w trzecią jawę!...

A wy, coście szarzyzny uprawiali brzydź
I zbiorową w pyskach złudę srożyli dumnie,
Czy zdołacie tym życiem, co was wydrwi, żyć
I w zawrotny przepych słońca wejść bezrozumnie?

Już odtąd – z odwróconym do błękitu łbem,
Z wiarą w nową zaobłoczność, w odkrycia niebne

Pobrniecie niedołężnie – między snem a snem –
Od przydrożnych wierzb przyjmując – guzy chwalebne!...

Guzy, które złagodzą pychę waszych wad
I okupią uporczywość ślepego grzechu...
A my – śmiać się z nich będziem – śmiać się w cały świat!
Jakże tęskno mi już dzisiaj – do tego śmiechu!

Pan Błyszczyński

Kazimierzowi Wierzyńskiemu,
Jego żywotnym zmaganiom się
z upiorami współczesności i zdobywczym
przeobrażeniom twórczym

Ogród pana Błyszczyńskiego zielenieje na wymroczu,
Gdzie się cud rozrasta w zgrozę i bezprawie.
Sam go wywiódł z nicości błyszczydłami swych oczu
I utrwalił na podśnionej drzewom trawie.

Kiedy zmory są zajęte przyśpieszonym zmorowaniem
Między mgłą a niebem, między mgłą a wodą –
Zielna zjawa swe dłonie zbezcieleśnia ze łkaniem
Nad paprocią – nad pokrzywą – nad lebiodą.

W takiej chwili Bóg przelatał, pełen wspomnień wiekuistych,
Ścieżką podobłoczną – właśnie, że tułaczą –
I przystanął na zbiegu dwojga tęsknot gwiaździstych,
Gdzie się widma migotliwie bylejaczą.

Zaszumiało jaworowo, ale chyba wbrew jaworom –
Samym cisz zamętem, samą cisz utratą...
„Kto te szumy narzucił moim dumnym przestworom?

Kto ten ogród roznicestwił tak liściato?...”

Cisza... Nikt nie odpowiada. Płyną chmury i godziny...
Wszelka dal w niebiosach – to dal zagrobowa.
Pan Błyszczyński w świat nagle z trwożnej wyszedł gęstwiny,
Szepnął: „Boże!” – i powiedział takie słowa:

„Był w zaświatach – sen i wicher i zaklętej burzy rozgruch
Boże, snów spełnionych już mi dziś nie ujmuj!
Jam te drzewa powcielał! To – mój zamysł i odruch...
Moje dziwy... Moje rosy... Dreszcz i znój mój!

Przebacz smutkom i widziadłom, nie znającym rodowodu,
I opacznym kwiatom, com je snuł z niczego...
Moja wina! O, Boże, wejdź do mego ogrodu!
Do ogrodu!... Do – mojego!... Do – mojego!...

Wyznam Tobie całą zwiewność, całą gęstwę mojej wiary
W życie zagrobowe kwiatów i motyli.
Wejdź do mego ogrodu! I cóż z tego, że czary!...
I cóż z tego, że ułuda nikłej chwili!...”

Wszedł w gęstwinę, co szumiała poza życia drogowskazem.
Sami byli teraz. Oko w oko – sami.
Nic do siebie nie rzekli i ciemniejąc, szli razem
Alejami – alejami – alejami!

Ogród śnił się... Tu i ówdzie dąb prześniony zżółkł i powiądł.
Każdy krzew sam w sobie miał zaświata wygląd.
Sporo było w gałęziach – cisz zbłąkanych i sowiąt,
Lecz nie było ani świerszczy, ani szczygląt.

Uciekały się niebiosy pod najdalszych gwiazd obronę.
Miesiąc złotym rogiem chmurę mgliście pobódł.
Trzepotały się w piachu dusze zmarłych, spragnione
Nowych zgonów i pośmiertnych w mroku swobód.

Coś zlociście wyspowego w daleczyźnie alej pełga –
Można taką wyspę brwi skinieniem spłoszyć...
Świetlikami za chwilę północ w zieleń się wełga,
Niepokojąc gmatwaninę leśnych poszyć.

Pan Błyszczyński sprawdzał ogród, czy dość czarom jego uległ –
I czy szum i poszum dość jest rzeczywisty –
I czy liszaj na dębie – jadowity brzydulek –
Dość się wgryza w złudną korę i w pień śnisty?...

Badał jeszcze, czy ptak-lilia dość skowrończo w przyszłość śpiewa,
I czy wąż-tulipan wiosny jest oznaką...
I spojrzeniem przymuszał przeciwiące się drzewa,
By do zwykłych podobniały jako-tako...

Drapieżniały zbyt cudacznie zdradnych kwiatów niebywałki,
A gałęziom ciążył złej wieczności nawał.
Pod stopami przechodniów piach niepewny i miałki
Tyleż istniał, ile istnieć zaprzestawał.

Szli, aż doszli tam, gdzie w mrzonce zagęstwionej i niczyjej
Cień dziewczyny jaśniał oczu w dal rozbłystką,
A jej usta i piersi i ramiona i sny jej
Były takie, żeby właśnie kochać wszystko...

Rzęsy miała dosyć złote, by rozwidnić blaskiem rzęs tych
Dno zmyślonych jezior, gdzie mży śmierć zmyślona –

Warkocz łatwo się płoszył, więc skrzydłami fal gęstych
Wciąż uciekał i powracał na ramiona.

Bóg w nią spojrzał, kiedy właśnie wynurzona z mgieł spowicia
Urojone oczy w modre nic rozwarła.
„Kto ją stworzył?" – zapytał. „Nikt, bo przyszła bez życia
I bez śmierci, więc nie żyła i nie zmarła...

Próżno szukam w jej warkoczu źdźbeł istnienia, snu okruszyn,
Próżno chcę ugłaskać pozłocisty kędzierz!
Tak mnie wzrusza ten niebyt, cudny niebyt dziewuszyn!...
Bądź miłościw niebytowi... Wiem, że będziesz...

Wyłoniłem z mroku ogród, oderwany od przyczyny,
Rozkwieciłem próżnię, namnożyłem ścieżek –
I już wszystko rozumiem, prócz tej jednej dziewczyny,
Prócz tej jednej, którą kocham!" Bóg nic nie rzekł.

„Znam usilność rzeczy sennych i znużenie rzeczy martwych.
Ogród mój chwilami wolałby – bezlistnieć...
Boże, nie skąp w obłokach błogosławieństw i kar Twych
Tym, co wiedzą, że ich nie ma – a chcą istnieć!

W Twych przestworach coś się stało... Mgła o cud się dopomina...
Z tamtej strony świata modlą się zawieje.
I w tych strasznych bezczasach taka nagła dziewczyna
Tak niebacznie poza życiem – cieleśnieje!

Zbliż się do niej, ciemny jarze! Zbliż się do niej, modra strugo!
Czemuż pies mój wyje na jej czar cichutki?
Może zimne jej usta są ostatnią posługą
Dla tych właśnie, którzy wierzą tylko w smutki.

Znam niedolę wniebowstąpień! Znam wskrzeszonych ust niedolę!
I płacz wśród zieleni... I zgon sierociński...
I to wszystko mnie boli!... Ja – sam siebie tak bolę!" –
Wołał w bezmiar i ku Bogu pan Błyszczyński.

Ale Boga już nie było... Pustka padła wzdłuż na kwiaty.
Widma drzew szeptały: „Zmiłuj się nad nami!" –
Błogosławiąc snom wszelkim, leciał w dalsze wszechświaty
Powietrzami, wstrząsanymi powietrzami.

Pewno widać było z nieba, że świat mija i przeminie,
I że snom przyświeca – woda na kamieniu...
Pan Błyszczyński zaszeptał w usta niemej dziewczynie
„Błędny cieniu, marny cieniu, cudny cieniu!

Zabłękitnij – odbłękitnij... I mów wszystko i nie domów!...
Czy tu jest ów wszechświat, gdzieś zgubiła siebie?
Może ci się należy wpośród innych ogromów
Inna zieleń – inna nicość – w innym niebie.

Nie zaczęłaś dotąd istnieć w żadnym półśnie, w żadnym grobie,
Dotąd stóp twych śladu nie stwierdziły kwiaty –
Podczas twego niebytu zakochałem się w tobie,
Naraziłem mroczne ciało na zaświaty!

Czy mam z tobą iść w głąb żalu, czy w tę inną głąb doliny,
Nim świat zginie śmiercią, niebem malowaną?...
I jak dążyć do ciebie – do niebyłej dziewczyny –
Ty – mgło moja, usta drogie, złota piano!...

Oto resztki mych przeznaczeń: noc niedobra i dzień sępny –

Oto – popłoch czarów, gdy je miłość zrani!
Od nicości do ust twych – ledwo jeden krok wstępny,
Od otchłani poprzez dreszcze – do otchłani!

Śni się liściom – nieskończoność, śni się wiosłom – dno i łódka.
Odtrącone zorze raz na zawsze bledną...
Czy śmierć w nic nas rozśmieje, czy nas z nowych łez utka –
Wszystko jedno, tchu ostatni, wszystko jedno!

Noc zabije nas nie mieczem, lecz jaśminem i konwalią –
I zaciszem mogił – i oddechem sadu!
Prędzej pochwyć treść nocy i ucałuj i spal ją,
Żeby po niej nie zostało ani śladu!

Wszystkim widmom chce się zginąć takim nagłym wielozgonem,
Żeby brak ich we śnie – był dla jawy ulgą.
A mój upiór śpi w jarze – na wybrzeżu zielonem,
Gdy go znajdziesz, pusty cieniu – zbudź i tul go!

Tam – wysoko i najwyżej – między niebem a nadrzewiem
Włóczy się srebrnawo – cisza i znikomość.
Tak o tobie nic nie wiem, tak cudownie nic nie wiem,
Że miłością jest ta moja – niewiadomość!”

Umilkł nagle pan Błyszczyński i popatrzył w dal niecałą,
Światel i przeznaczeń było coraz więcej.
A on kochał ją w usta, kochał w stopy, w pierś białą –
I minęło różnych czasów sto tysięcy!

Ramionami ją ogarniał, a ustami doogarniał,
Oczom z gwiazd przyrzucał patrzącego złota,
Lecz cień w jego objęciach wciąż samotniał i marniał

I nie wiedział, że to – miłość i pieszczota.

Noc z roziskrzeń, wróżb i mgławic promienisty splotła batog,
Żeby nim biczować nie dość chętne groby,
A w księżycu się jarzył wykres cieśnin i zatok,
Gdzie nic nie ma, prócz oddali i żałoby.

Mrok zaskomlał w pustym dębie, zagwizdała nicość w klonie,
I rozbłysla w księżyc – śmierć i pajęczyna...
Pan Błyszczyński zrozumiał i załamał swe dłonie
I pomyślał: „W nic rozwieje się dziewczyna!" –

W nic rozwiała się dziewczyna i jej czar, poczęty w niebie,
I pierś, zakończona różową soczystką.
I rozpadło się ciało na żal straszny do siebie
I niewiedzę o tym żalu!... I to – wszystko...

Nie umarła, lecz umarło jej odbicie w jezior wodzie.
Już się kończył zaświat... Ustał cud dziewczyński...
O, wieczności, wieczności, i ty byłaś w ogrodzie!
I był blady, bardzo blady pan Błyszczyński.

Z tomu
„Dziejba leśna”

[1938]

Niegdyś dom mój ochoczy

Niegdyś dom mój ochoczy i świat za dąbrową
Porzuciłem, by dachu nie mieć ponad głową,
I siebie porzuciłem gdzieś na skraju lasu
Bez pomocy, bez żalu, bez śpiewu, bez czasu
I biegiem tam, gdzie burza, mrok i zawierucha,
By serce niepokoić i narazić ducha –
Tak się chciałem utrudzić i krwią własną zbroczyć,
Żeby istnieć wbrew sobie i ból swój przekroczyć.
I minęło lat wiele – i po latach wielu –
Marnotrawiąc dróg tysiąc – dotarłem do celu
I pieśniami nade mną rozbrzmiały niebiosy,
Powiększyły się kwiaty, zolbrzymiały rosy –
I zgaduję, że z płaczem, po własnym pogrzebie,
W opuszczoną bezdomność powracam do siebie.

Tu jestem

Tu jestem – w mrokach ziemi i jestem – tam jeszcze
W szumie gwiazd, gdzie niecały w mgle bożej się mieszczę,
Gdzie powietrze, drżąc ustnie, sny mówi i gra mi,
I jestem jeszcze dalej poza temi snami.

Zewsząd idę ku sobie; wszędzie na się czekam,
Tu się spieszę dośpiewnie, tam – docisznie zwlekam
I trwam, niby modlitwa, poza swą żałobą,
Ta, co spełnić się nie chce, bo woli być sobą.

Wczesnym rankiem

Gdy ulice, stopami ludzkiemi nietknięte,
W słońcu porannem stoją dla nieba otworem,
Nie poznaję drzew dawnych – takie są zaklęte,
Tak trafnie olbrzymieją i tak puchną – borem.

Zda się, że po raz pierwszy owiane szelestem
Jawią się moim oczom w cudnym niepoznaniu,
Jakbym zastał je nagle na ich skrytem trwaniu
W świecie zgoła odmiennym, niż ten, gdzie ja jestem.

Lecz pierwszy zgiełk ulicy, wrzask życia ułudy
Płoszy je, że – malejąc – tłumią czary swoje
I cofają się właśnie w ten świat, gdzie ja stoję
I podglądam ich pilnych przeistoczeń trudy.

Południe

Obłok blaskiem sam siebie zaćmiewa w upale,
Dno błękitem przeciera, lub nie ma dna wcale.
Rumianek, co w tych żarach biel gubi cudacznie,
Trzykroć w nic się odzłoci, nim kwiatem być zacznie...

Płat murawy od wzgórza całą źdźbeł bezsiłą
Zielenieje mi w oku – w skrócie i pochyło...
Głos od brzmienia własnego w tej ciszy odwyka,
Nie chce mu się być głosem – bez żalu zanika.

Drwal, nogi rozkraczywszy, z zadumą snu szczerą
W pień uderza zbłyskaną od słońca siekierą.
Echo się do uderzeń opóźnia o mgnienie,
A ja właśnie to drobne chwytam opóźnienie
I, nim odgłos siekiery osobno dolata,
Całe niebo przeżywam i zwiedzam pół świata!
W tych przerwach między echem a ciosów bezgwarem
Dusza moja, z niczego zrodzona nad jarem,
Szuka wolnej umieszczki dla trwania na nice,
Dla istnienia naopak, dla tchu – w tajemnice!
Nie wie o tem siekiera, że w ten dzień słoneczny
Pracuje na baśń moją, na mój żywot wieczny!
I że w jedną jedyną bezbrzeż sie zespala
Jej połysk i pnia wygłos – mój sen i ruch drwala!
Że echo do uderzeń opóźnia się czaru,
By snom dać krztynę czasu na wstęp do bezmiaru!

Zachód

W błękicie – szkarłat zórz! Wniebowstąpienie róż!
Wieczność płonie tak samo, jak płonęła za młodu...
Ogród, gdzie w złotym mchu tkwi odrobina tchu,
Niezbędnego dla ciebie, co śnisz wnętrze ogrodu.

By iść do tamtych stron, odzyskać trzeba zgon,
Zagubiony w tym bycie, co narzucił się światu.
Nic nie mów – tylko patrz! I nie patrz, ale płacz,
Bo już niema dla duszy wyjścia z tego szkarłatu!

Idzie zmierzch

Idzie zmierzch od zapłotków – od stodół – od jarów,
Idzie zewsząd i znikąd, a taki ma narów,

Ze im bardziej snem przymrze i w rów się zagrzebie,
Tem widniej mu w niebycie – tem łatwiej znieść siebie.

O, niełatwo nam było powiązać los z losem!
Smutek boczył się na nas; żal patrzył ukosem...
Odeszłaś – w ślad za tobą dzień złoty przeminął –
Ale, z ziemi uchodząc, po niebie wciąż płynął...

Dogorywa dnia reszta w obłokach zbłąkana,
Dołem mrok, lecz nadwyżką dnia – płonie stóg siana.
Więc raz jeszcze – choć ciebie niema w pól rozłogu –
Przeżywam dzień miniony – ten, co lśni na stogu.

Krajobraz utracony

Czemu obcą mi wioskę z zwykłych lip gromadą
Wspominam, jak dostępną niegdyś tajemnicę,
Gdzie owiec znakowanych natłoczone stado
Napełniło – już znikłą na zawsze ulicę?...

Czemu dziś we wspomnieniu tak pilnie je śledzę?
Ruch każdy, snem sprawdzony, odtwarzam zawzięcie...
Czas mijał... One – w czasu wbłądziły niewiedzę
I, nagle bezładniejąc, znikły na zakręcie.

I czemu czuję w piersi zdławiony płacz boży
Na myśl, że nie zaszumią tamtych pól powiewy,
I że się nie rozwidnią światłem tamtej zorzy
Zgubioną wełną owiec pośmiecone krzewy?

Krzywda

Zamknij okno... W ogrodzie – zbyt śpiewno.

Oczy do snu, lub do śmierci zmruż.
Krzywda nasza kończy się napewno!...
Życie – mija... Wolno spocząć już...

Dzień się nowy na obłoków bieli
Nie zatrwoży, że ciał naszych brak...
Lecz to wszystko, cośmy przecierpieli,
Niechaj we mgle ma choć drobny znak!

Bo czem zgrozę odkupić zagłady,
Łez wysiłek i ten pusty czas,
Gdy śmierć zniszczy nawet ran tych ślady,
Ran, co niegdyś tak bolały nas?

Com uczynił...

Com uczynił, żeś nagle pobladła?
Com zaszeptał, żeś wszystko odgadła?
Jakże milcząc poglądasz na drogę!
Kochać ciebie nie mogę, nie mogę!
Wieczór słońca zdmuchuje roznietę.
Nie te usta i oczy już nie te...
Drzewa szumią i szumią nad nami
Gałęziami, gałęziami, gałęziami!

Ten ci jestem, co idzie doliną
Z inną – Bogu wiadomą dziewczyną,
A ty idziesz w ślad za mną bez wiary
W łez potęgę i w oczu swych czary –
Idziesz chwiejna, jak cień, co się tuła –
Wynędzniała, na ból swój nieczuła –
Pylną drogę zamiatasz przed nami

Warkoczami, warkoczami, warkoczami!

O zmierzchu

Gdy zmierzch na oknie naszem już dosięga kwiatów,
My, w cień wspólny związani na znajomej ścianie –
Myślami do dwu różnych odbiegamy światów,
Dłońmi zwarci w tym ziemskim, jak na pożegnanie.

Wędrówka myśli naszych, stroniących od ciała,
Każe pod grozą straty trwać w znieruchomieniu –
Dech przy tchu, skroń przy skroni, ramię przy ramieniu
I unikać wszystkiego, co szumi, lub pała...

Czuję ucho twe miękkie – zgrzane przy mem uchu,
Lecz go nie śmiem ochłodzić wilgotnych warg brzegiem,
By dreszczem nieobacznym lub pieszczot zabiegiem
Nie skłócić nabytego od zmierzchów bezruchu.

Prośba

Czemuśmy się zgodzili na brzemię pokory?

Na istnienia naszego – ból, krzywdę i strwon?
Czemuśmy nie wyryli choćby kreciej nory,
By dać szczęściu – kryjówkę i nocleg i schron?

Zaniedbaną pieszczotą chcemy zmóc rozpacze –
Na ustach słów spóźnionych zbytecznieje gwar...
I płacz ciągle nas ściga, choć już nikt nie płacze –
Bo i cóż nam zostało? – To jedno: twój czar!...

O, nie znuż się ostatnim czarowania trudem!
Wytrwaj w jawie, co męczy zbyt usilnym snem!

Nie wiesz nawet, czem dla mnie w mroku – poza cudem
Są twe dłonie!... Ja tylko, gdy całuję, wiem...

Powrót

Wracam, wracam po długiej rozłące –
Dłonie twoje, niecierpliwie lgnące!

Wszystko – dawne, a niby na nowo –
Drogi oddech – znajomy ruch głową...

Znów prowadzisz przez wszystkie pokoje,
I idziemy, idziemy oboje...

Nowej sukni nie postrzegłem wcale –
Śmiech twój dzwoni, że patrzę niedbale.

Pokazujesz dłonią niespodzianie
Nowe w kwiaty obicia na ścianie

I list do mnie zaczęty na stole –
„Pełen żalu... Niech leży... Tak wolę".

Okno nagle otwierasz w głąb nieba –
Niepotrzebnie, a właśnie tak trzeba.

Dłoń mą tulisz do serca, więc słyszę
Jak uderza – choć w ustach masz cisze.

I w tej ciszy, w straszliwem milczeniu
Skroń mi, płacząc, składasz na ramieniu.

Skończoność

Tyle nam pieszczoty,
Co dla czworga rąk.
A ty, zmierzchu zloty,
Konaj wpośród łąk.

Jedna dal w błękicie,
Ale różna łódź!
Trzebaż było życie
Z ową dalą skuć?...

Późny wieczór stroni
Od zielonych brózd.
Dłoniom zbrakło dłoni,
Ustom zbrakło ust!

Szczęście, co od słońca
Wzięło czar i kres,
Dobiega do końca,
Unikając łez.

Oto – zlękłe ciało,
Oto gwiezdny kurz!
To, co stać się miało,
Niech się stanie już!

Dreszcze nasze u warg się spotkały

Dreszcze nasze u warg się spotkały. Powieki
Zwarły się, by nie widzieć nic oprócz rozkoszy,
Co, po ciemku zrodzona, śni pożar daleki
Sadów, gdzie ptak śpiewając ognia się nie płoszy.
Nie domknąłem twej wrótni, upuściłem róże

W twym progu – i zaledwo w snów i pieszczot przerwie
Widzę je wraz z mieczami aniołów w lazurze,
Z których żaden od ust mię twoich nie oderwie!
A czas nastał. Idąca do lasu przez drogę
Śmierć mnie woła. Napróżno! Umrzeć już nie mogę!...

Razem z tobą w rozkoszy i kwiatach zaryty,
Choćby nade mną nagła wyrosła mogiła,
Skrawka ziemi, gdzie miłość do snu mnie złożyła,
Nie opuszczę, by odejść w nieznane błękity!
Nie zamienię snu mego na sen wiekuisty,
Bogom, zeszłym do jaru – tam, gdzie moja chata,
Nie oddam łąk, ścielących swój dywan kwiecisty
Dla ciał dwojga, co uszły potęgom wszechświata!
A czas nastał. Wpatrzona w chmur naokół trwogę.
Śmierć mnie woła. Napróżno! Umrzeć już nie mogę!

Słońce na duchy nasze, dla nieba zbyteczne,
A dzielące z kwiatami swój czar i przewinę,
Patrzy jako na żywe zegary słoneczne,
Gdzie cień chabrów miłości wskazuje godzinę.
Dłonie nasze, splecione w szczęścia niepodzielność,
U stóp brzozy przygodnej – wobec szumów łąki
Skruszyły w swym uścisku wzajemną śmiertelność,
I niemasz dla nich czasu – i niemasz rozłąki!
A czas nastał. Wiodąca wzwyż duchów załogę
Śmierć mnie woła. Napróżno! Umrzeć już nie mogę.

Twój portret

Twój portret z lat dziecinnych... Ten uśmiech niecały,
Co dziś mi zapowiada pieszczotę gołębną –

Też nogi, które grzeje wargami, gdy zziębną –
Lecz skaczące w ogrodzie przez sznur rozbujały.
Pierś – jagoda znikliwa i nie do ujęcia,
W biegu wklęta w ramiona, jak łódź między wiosła,
Serce czuć w niej, jak w gnieździe ciepły łeb pisklęcia:
Długo siebie nie znało, nim w pełnię urosła!
Na dwie siostry w rozłące – patrzę na przemiany,
I czarem podobieństwa w milczeniu się poję –
Którąż dzisiaj posiadam, żądzą opętany?
Jednąż kocham dziewczynę, czyli dziewcząt dwoje?

Lubię szeptać ci słowa

Lubię szeptać ci słowa, które nic nie znaczą –
Prócz tego, że się garną do twego uśmiechu,
Pewne, że się twym ustom do cna wytłumaczą –
I nie wstydzą się swego mętu i pośpiechu.
Bezładne się w tych słowach niecierpliwią wieści –
A ja czekam, ciekawy ich poza mną trwania,
Aż je sama powiążesz i ułożysz w zdania
I brzmieniem głosu dodasz znaczenia i treści...
Skoro je swoją wargą wyszepczesz ku wiośnie –
Stają mi się tak jasne, niby rozkwit wrzosu –
I rozumiem je nagle, gdy giną radośnie
W śpiewnych falach twojego, co mnie kocha, głosu.

Szczęście

Coś srebrnego dzieje się w chmur dali.
Wicher do drzwi puka, jakby przyniósł list.

Myśmy długo na siebie czekali.
Jaki ruch w niebiosach! Słyszysz burzy świst?

Ty masz duszę gwiezdną i rozrzutną.
Czy pamiętasz pośpiech pomieszanych tchnień?

Szczęście przyszło. Czemuż nam tak smutno,
Ze przed jego blaskiem uchodzimy w cień?...

Czemuż ono w mroku szuka treści
I rozgrzesza nicość i zatraca kres?

Jego bezmiar wszystko w sobie zmieści,
Oprócz mego lęku, oprócz twoich łez...

Jam – nie Osjan

Jam – nie Osjan! W zmyślonej postaci ukryciu
Bezpiecznie śpiewam moją ze światem niezgodę!
Tarczą złudy obronny – zyskałem swobodę,
Którą on by zapragnął, gdyby tkwił w tem życiu.

Za niego dźwigam brzemię należnej mi sławy
I za niego o przyszłość mych pieśni się trwożę –
Żyję tak, jakbym tego życia był ciekawy –
Ginę, jak on by ginął, choć zginąć nie może!

Ten go uczci, co będzie na moim pogrzebie,
Gdy moja mgła się z niego spokrewni tumanem.
Nikt się nigdy nie dowie, czem byłem dla siebie –
Dla innych chciałbym zawsze być tylko Osjanem.

Tak rzekł śpiewak, lecz własnym smutkom nie podołał,
I nagle: Boże, Boże! – do Boga zawołał.

Jam – nie Bóg! Twarzy mojej spragniony zatraty,
Maskę Boga przywdziałem – zdradziecko pokrewną,
I za Niego stworzyłem bezrozumne światy,
Tak, jak On by je stworzył... Napewno! Napewno!

Za niego w mrok się wdarłem, by trwać w obłąkaniu,
Tak jak On by to czynił, gdyby chciał się wdzierać!
Za Niego mrę na krzyżu, w bolesnym przebraniu
Tak właśnie, jak On marłby, gdyby mógł umierać!

Za Niego, jakby rozpacz gnała Go po niebie,
Płacząc – w próżnię uchodzę, by marnieć – odłogiem!
Nikt się nigdy nie dowie, czem byłem dla siebie!
Dla was, co się modlicie, jestem tylko – Bogiem.

Wyruszyła dusza w drogę

Wyruszyła dusza w drogę... Dzwonią we dzwony.
„Gdzie są teraz moje sady? Gdzie moje schrony?"

Zawołały wszystkie lasy, pełne motyli:

„Spocznjj, duszo, w naszym cieniu – nie zwlekaj chwili!"

„Jakże mogę w waszym cieniu spocząć niezwłocznie,
Kiedy sama jestem cieniem, gdzie nikt nie spocznie!"

Zawołała wonna łąka, zalśniona rosą:
„Koś mnie sobie na użytek złocistą kosą!"

„Jakże mogę ciebie kosić, łąko zielona –
Kiedy sama kosą śmierci jestem skoszona!"

I zawołał Bóg zjawiony: „Miłuj mnie w niebie,
Gdzie radością niecierpliwy czekam na ciebie!”

„Jakże mogę cię miłować w szczęścia pobliżu,
Gdym smutnego pokochała niegdyś na krzyżu?”

„Pozbawiłem ciebie świata i sosen z boru,
Byś nie miała, oprócz Boga, nic do wyboru!”

„Zagnałeś mnie z krasnych maków w ciemność mogiły,
Gdzieżeś ukrył owe miecze, co mnie zabiły?”

„Nie ukryłem owych mieczy, mam je przy boku,
Jeno zechciej – nieszczęśliwa – spocząć w obłoku!”

„Jakże spocznę w twym obłoku – z ziemią w rozłące,
Kiedym lasom odmówiła i mojej łące!”

„Otrzyj oczy zapłakane szat moich bielą,
A rozkaże mym aniołom – niech cię weselą!”

„Jakże mogę się weselić z tobą w przestworze,
Kiedy śmierci twej pożądam – Boże, mój Boże!”

I zamilkli i patrzyli nawzajem w oczy –
A ponad nim i ponad nią wieczność się toczy.

Puściła po stole swawolący wianek

Puściła po stole swawolący wianek.
„Kto go chwyci pierwszy – ten mój ukochanek!”

Pochwycił tak ściśle, aż się kwiaty zwarły.

„Skąd ty jesteś rodem?” – „Ja rodem – umarły!”

„Co się stało wokół, że świat mi się mroczy?” –
„To ja własnoręcznie zamykam ci oczy”...

„Już mnie nigdzie niema i nigdy nie będzie!” –
„Niema ciebie nigdzie, bo już jesteś wszędzie”.

Skrzeble

Skrzeble biegną, skrzeble przez lasy, przez błonie,
Drapieżne żywczyki, upiorne gryzonie!
Biegną szumnie, tłumnie powikłaną zgrają,
A nie żyją nigdy, tylko umierają –
Umierają, skomląc, szereg za szeregiem.
Śmierć jest dla nich właśnie tym po lasach biegiem,
Śmierć jest dla nich pędem w niepochwytne cienie –
Biegną tylko poto, aby śnić istnienie.
Świat im śni się w biegu – daleki i bliski,
Śnią się własne ślepie, śnią się własne pyski,
Śni się im, że mogą kąsać jadowicie –
Węszą przez sen moje i to twoje życie,
A ten sen łakomy wystarcza im prawie –
Kogo gryzą we śnie, ginie ten na jawie –
Gryzą we śnie boga, co sen stworzyć umiał,
A ów dąb umiera, co dla niego szumiał.

Spotykam go codziennie

Spotykam go codziennie. Twarz, wklęta w ramiona,
Jak mgła, męczarnią oczu ledwo obgłębiona.
Wyciąga błędnej ręki widemko niemrawe,
By niem zgłaskać surduta połataną jawę.

Patrzy we mnie, jak w pustkę, lecz głowy nie zniża.
Te same zawsze gwoździe tłoczą go do krzyża.
Życie nowych mu skąpi, a starych nie kruszy.
Gdzie mu tam w myśli teraz nowy gwóźdź dla duszy!
Już niezgrabny od nędzy, zły i niedorzeczny,
Chce coś mówić, lecz wstyd go przeraża odwieczny –
Ten wstyd, co w swój niebieski wpatrzony rodowód,
Pielęgnując cierpienie, boczy się na powód.
Wstydu jego przede mną zawczasu się wstydzę –
Więc udaję, że w tłumie już go niedowidzę.
A chcę mu coś powiedzieć – coś na wieczność całą –
Rozpłakać się... rozśmieszyć to zgłodniałe ciało –
Nakarmić i przyodziać nadmiernie, odświętnie. –
Ale on mię już minął i znikł obojętnie.
I tak zawsze i nigdy nie będzie inaczej...
Nikt nie zmieni mgły jego i mojej rozpaczy,
I nikt nas – choć się rozpacz do mgły czasem zbliża –
Nie wbije nowym gwoździem do wspólnego krzyża.

Zbój

Przez śnieżyce, co, wyjąc, powiększa przestworza.
Zbój się skrada – w nawianej puszyściejąc bieli...
Nie masz prawa sięgania do ludzkiej gardzieli!
Mam – prawo noża!

Pcha go naprzód w mrok pusty wicher i nadzieja...
Stanął nagle, jak gdyby z durną zmorą zszedł się.
I oczy, zaszronione nieściśle, rozkleja
I patrzy przed się.

Z cieniem, który ułomnie zboczony na murze

Na przelewne ramiona wdział czapę bez głowy,
W sztywnym brzasku latarni piętrzy się w mundurze
Posterunkowy.

Księżyc na chmur czuprynę wyplusnął dzban mleka,
A Bóg żywcem uchodzi w śnieg, w chłód i w zawieję.
Zbój krzyczy: „Panie Chmura!" – i w nicość ucieka,
A on – olbrzymiejąc – poważnieje...

Tango

Ogień nasturcji – w ślepiach kota.
Mgły czujnej wokół ciał zabiegi.
Łódź, co odpływa w nic – ze złota!
Żal – i liljowe brzegi.

Suńmy się ruchem dwóch gondoli,
Nie patrząc w lśniące dno podświatów –
Niepokojeni z własnej woli
Tajemną wiedzą kwiatów.

W zwierciadłach – świateł piętrowanie,
A w szybach – zmrok posępny –
I nieustanne zanurzanie
Stopy w ten dźwięk następny...

A dźwięki, z tańcem snując zmowę,
Mgławieją – byle mgławieć.
Tango bezwiednie purpurowe
Zaczyna – niechcąc błękitnawieć...

Stopę, co szuka mgły wygodnej,
Ostatni dźwięk wyminął –

I niezużyty – i swobodny
Chce ginąć... I już zginął.

Pogrzeb Don Żuana

Zbladła twarz Don Żuana, gdy w ulicznym mroku
Spotkał swój własny pogrzeb, i przynaglił kroku.
I zatracił różnicę między ciałem w ruchu
A tem drugiem, co legło w trumiennym zaduchu.
Czuł tożsamość obojga – orszak szedł pośpiesznie
A jemu się zdawało, że w miejscu tkwi śmiesznie.
Czekał, aż uśnie w Bogu, lecz stwierdził naocznie,
Że Bóg nie jest – noclegiem – i że już nie spocznie.
Pogardą na śmiertelne odpowiadał dreszcze.
„Spi snem wiecznym" – szeptano, ale nie spał jeszcze.
Szedł coraz bezpowrotniej – w pozgonnym rozpędzie.
„Śpi snem wiecznym"... Snu niema i nigdy nie będzie!
„Szczęśliwy! Już nie cierpi!" – tak mówiono wkoło –
A on w świat trosk mogilnych kroczył niewesoło,
W świat, gdzie pierwszą ułudą jest ostatnie tchnienie –
I zaczęło się nowe – nieznane cierpienie.
Dzwony jeszcze dzwoniły. Nie słuchał ich wcale.
Szli ludzie – dotąd żywi... Minął ich niedbale.
Czczość dzwonów i daremność zrozumiał pogrzebu
I zmarłemi oczyma przyglądał się niebu.

Ciało me, wklęte

Ciało me, wklęte w korowód istnienia,
Wzruszone słońcem od stóp aż do głów,
Zna ruchy dziwne i znieruchomienia,
Które zeń w śpiewie przechodzą do słów.

Zna pląsy gwiezdne, wszechświatów taneczność
I wir i turkot rozszalałych jazd –
Pieśnią jest życie i pieśnią jest wieczność
W takt mego serca i nie moich gwiazd!

Gdy wieczór na noc do snu się układa,
Zmierzchami tłumiąc purpurowy żal,
Bóg, niby z nieba strącona kaskada,
W pierś mą uderza i rozdzwania w dal...

I drgają w piersi rozdzwonione losy,
Bije do głowy rozśpiewana krew.
I pieśnią całe ogarniam niebiosy,
I ziemię całą widzę poprzez śpiew!

Miłość stroskana

Która godzina? Która w niebie zorza?
Nie czas na skargi! Świat właśnie jest taki!...
Dawnoś to w zbożu rwał chabry i maki?
Pokochaj zboże! Nic niema, prócz zboża!...

Czemuż tak patrzysz w otchłanie bezczasu –
I mówisz: „Jakże pokocham tę zmorę?" –
Dawnoś to w lesie całował drzew korę?
Więc las pokochaj! Nic niema, prócz lasu!

– „Przyszedłem na świat, poprzedzon żałobą,
I byle jaką odejdę stąd bramą". –
A cóż zabierzesz na drogę ze sobą,
Jeśli – nie wszystko, jeśli nie to samo?

Niech dusza twoja, miłością wielmożna,

Takim się żalem po nocach nie trudzi,
Że prócz tych roślin i zwierząt i ludzi –
Nic na tym świecie pokochać nie można!

Usta i oczy

Długo się usta moje karmiły twem ciałem,
Aż głodu ust mych doznałem –
Boś ujęła im pieszczot w ostatniej godzinie,
Co, przemijając, nie minie.
I odtąd, odrzucone w świat, słońcem rozbłysły,
Straciły rozum i zmysły –
I całują te głazy i te martwe rzeczy,
Które duch zdeptał człowieczy.
Całują księżyc w studni, słońce wśród alkierzy –
I wiatr, gdy nawprost uderzy,
I gniazda, które burza strąciła przedwcześnie,
I kwiaty w polu i we śnie –
I całują u źródeł szemrzącego losu
Wszystko, co kwitnie bez głosu,
Wszystko, co pocałunków, złożonych w pokorze,
Oddać im nigdy nie może.
Jeno musi w to słońce zapatrzyć się złote
I, milcząc, przyjąć pieszczotę.
I radują się usta, że całować mogą
Wszystko, nie mając – nikogo!
I że wolno im teraz na kwiatach oniemieć
I mając wszystko – nic nie mieć!
Zaś oczy, gdy się usta do kwiatów zbliżały,
Odbiły nagle – świat cały.
I radują się oczy, że nad ust szkarłatem

Z całym spotkały się światem!

Jak niewiele ma znaków

Jak niewiele ma znaków to ubogie ciało,
Gdy chce o sobie samym dać znać, co się stało...
Stało się, bo się stało! Już się nie odstanie!
Patrzę ciągle i patrzę, jak gdyby w otchłanie,
I ciągle nasłuchuję, czy kto puka w ciszę?...
Nie dlatego, ze widzę, nie przeto, że słyszę.
I usta moje bledną, a to ten ból biały
Nie dlatego, że zmarły, lecz bardzo kochały,
I uśmiech nie dlatego trwa na nich przelotem,
Żeby się uśmiechały... ten uśmiech wie o tem.
A gdy ciebie wspominam – świat mi cały gaśnie,
Bo tak oczom potrzeba – tak chce się im właśnie!
A dłonie załamując, wiem, że nie z rozpaczy,
Lecz nie mogę inaczej – nie mogę inaczej.

Śni się lasom – las...

Śni się lasom – las,
Śnią się deszcze.
Jawią się raz w raz
Znikłe maje.

I mijają znów,
I raz jeszcze...
A ja własnych snów
Nie poznaję.

Dłoń zanurzasz w śnie...

Dłoń zanurzasz w śnie,

W zagrobowym cieniu.
Nie znajdujesz – mnie,
Walasz po imieniu!

A ja – leżę tu,
Gdzie ma być nas – dwoje.
Brak mi tylko – tchu,
Oto – ciało moje...

Mrok na schodach...

Mrok na schodach. Pustka w domu
Nie pomoże nikt nikomu.
Ślady twoje śnieg zaprószył,
Żal się w śniegu zawieruszył.

Trzeba teraz w śnieg uwierzyć
I tym śniegiem się ośnieżyć –
I ocienić się tym cieniem
I pomilczeć tym milczeniem.

Boże, pełen w niebie chwały

Boże, pełen w niebie chwały,
A na krzyżu – pomarniały –
Gdzieś się skrywał i gdzieś bywał,
Żem Cię nigdy nie widywał?

Wiem, że w moich klęsk czeluści
Moc mnie Twoja nie opuści!
Czyli razem trwamy dzielnie,
Czy też każdy z nas oddzielnie.

Mów, co czynisz w tej godzinie,
Kiedy dusza moja ginie?
Czy łzę ronisz potajemną,
Czy też giniesz razem ze mną?

Pogrzeb

Słyszę, jak deszcz po liściach coraz gęściej pluska.
Tak mnie nuży zwłok moich w zaświaty wywózka
Na kolach, co się kręcą, choć nie wiedzą drogi!...
Dla mnie już tylko – mroki i mroków rozłogi!
Boże, czemuś dał duszę, co snu musi żebrać –
I życie, które można tak łatwo odebrać?
I czemuś mnie z takiego utworzył marliwa,
Ze mnie w tę obcą ciemność byle noc porywa?
Czemu nieśmiertelniejesz na moim pogrzebie?
Czemuś zabił mnie jadem, co nie truje ciebie?
Czemu nuży mnie zwłok mych w zaświaty wywózka.
A deszcz po żywych liściach coraz gęściej pluska?...

Śmierć wtóra

Dwojgu zmarłym w cmentarza zakątku
Dawna miłość śni się od początku –
I westchnęli i po małej chwili
Wspomnieniami ust się połączyli.

Usta, usta! Próchno w was migota!
Któż odgadnie, że to jest – pieszczota?
Któż pomyśli, że to jest kochanie –
Pocałunków trudne wspominanie?...

Słodka jeszcze jest taka żałoba:

Cień – cieniowi, mgła – mgle się podoba.
Ale szczęście nie potrwało długo:
Niespodzianie zmarli śmiercią drugą...

Boże, Boże! Gdzie twoje lazury?
Straszno zmarłym umierać raz wtóry!
Straszno nie być pod żadnym namiotem...
Cicho – ciszej... Nie mówmy nic o tem...

ISBN 978-83-268-0822-7

Wydanie elektroniczne 2012

Na okładce wykorzystano fragment obrazu „El Rio de Luz" Frederica Edwina Churcha (1826–1900).

WYDAWCA
Agora SA
ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Konwersja i edycja publikacji